CENA ZŁ 20

CZYTELNIK

Henryk Worcell: U nas inaczej



Odra
tygodnik

CZYTELNIK




NUMER 34 (196) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 11 WRZEŚNIA 1949 ROKU ROK V

ERYK SKOWRON

# Pogrzeb nadziei i zmartwychwstanie

Jeden z największych niewątpliwie demagogów świata, człowiek, któremu dzięki diabelskiej, patologicznej wymowie udało się rozpętać najgorsze instynkty w człowieku i narodzie, pisząc o propagandzie, o tajnikach oddziaływania swego na masy, wymienia dwie zasady, których się trzymał: że ludzie nie mają pamięci, a więc nie trzeba się zbytnio krępować tym co się mówi dziś i tym co się mówi jutro; że należy często powtarzać to co się chce wpoić w umysły. Człowiekiem tym był Hitler. Jeśli w swoich twierdzeniach za życia swego miał rację, to wraz z nim i jego racja się skończyła. Gdyż gdzie jak gdzie, ale na obszarze, który w pewnych częściach świata zwykło się nazywać „za żelazną kurtyną" lekcja jego, lekcja jaką narody za tej „kurtyny" otrzymały w ostatniej wojnie, nigdy nie pójdzie w zapomnienie. Za dużo te narody przeżyły. Za dużo przecierpiały. Zbyt głęboko sięgało ich zagrożenie, bo aż do samych podstaw ich narodowego bytu, a dotyczyło nie tylko wolności, samoistności politycznej, lecz zwykłego, nagiego indywidualnego fizycznego życia. 13,5 miliona ludzi Związku Radzieckiego, 5,6 miliona Polaków — są dostateczną pamiątką tego niespełnionego zbrodniczego zamiaru wobec narodów, które niczego innego nie pragną jak żyć w zgodzie i pokoju z innymi.

Jakkolwiek narody te od pierwszej chwili zwycięstwa nic innego nie robią, jak tylko budują takie warunki swej egzystencji, które by uniemożliwiły powtórzenie się niedawnego niebezpieczeństwa, to przecież 10-lecie wybuchu wojny polsko-niemieckiej, wspomnienie pierwszej eksplozji późniejszej pięcioletniej straszliwej burzy — samym ciężarem gatunkowym owych dni zmusza człowieka do zastanowienia się nad istotnymi przyczynami kataklizmu, jego przebiegiem i jego naukami.

### Prawdziwe przyczyny wojny

Dzisiaj już każde małe dziecko wie, że to wcale nie o Gdańsk ani o „korytarz", ani nawet o Polskę szło. Proces norymberski oraz inne badania, jakie zostały przeprowadzone i jakie się jeszcze prowadzi nad zagadnieniem istotnych przyczyn wojny, coraz dobitniej wykazują, że to nawet nie Hitler i jego pomocnicy byli głównymi sprawcami owego wielkiego nieszczęścia narodów, że przyczyny są głębsze, że winowajcą jest kto inny i że ten winowajca nie został jeszcze ani osądzony ani unieszkodliwiony.

Dziś wiemy już dobrze, że ani zgoda Polski na pas tranzytowy przez Pomorze nie byłaby wojnie zapobiegła i wiemy to, że demon i krwiożerczość Hitlera nie są najważniejszą przyczyną wojny. *Charakter Hitlera i jego ideologii zadecydował o charakterze wojny, o brutalnych metodach jej prowadzenia, ale nie o jej przyczynie.*

Dziś cały świat zdaje sobie jasno sprawę z tego, że wojna wyrosła na następującym gruncie i miała następujące cele:

Powstanie państwa socjalistycznego w Rosji zagroziło całemu dotychczasowemu ustrojowi świata, podpiłowało główny filar — kapitalizm, jako system wyzysku ludów i ludzi, jako system budowania szczęścia jednych, bogactwa jednych na nędzy i nieszczęściu drugich.

Ktoś musiał się przeciwstawić socjalistycznemu porządkowi, który stał się w międzyczasie nadzieją świata pracy na całym świecie. Do spełnienia tej roli upatrzono Niemcy: ich żądzę rewanżu i panowania nad światem, ich Drang nach Osten i wiarę w posłannictwo nordyckiego Uebermenscha. Te pierwiastki, przez pokolenia junkierskiej polityki i militarystycznego drylu wypiastowane w duszy niemieckiej, stały się podstawą rosenbergowskiego „mitu dwudziestego wieku" i „walki" Hitlera. Ale pieniądze na ruch polityczny, który by się podjął realizacji tego mitu, na zorganizowanie siły, która by stworzyła szanse dla tej akcji, dali kapitaliści niemieccy i nieniemieccy.

Wynika to niezbicie ze sprawozdań amerykańskiej komisji Kilgore'a, która w ten sposób mówi o tych sprawach:

*„...rola, jaką odgrywały kartele w zachęcaniu Hitlera do pochwycenia władzy, została obszernie przedstawiona zarówno w zeznaniach składanych przed komisją, jak i gdzie indziej. Krupp, Thyssen i inne wybitne postacie niemieckiej areny przemysłowej oddawały do dyspozycji Hitlera zarówno poparcie finansowe, jak i wpływy polityczne"...*

Komisja ta celem wykazania, w jakim stopniu hitlerowskie plany podboju świata łączyły się z ambicjami wielkiego kapitału niemieckiego, przytacza następujące oświadczenie dra Karla Duisburga, byłego prezesa I. G. Farben, złożone w 1931 r.:

*„Ciasnota narodowego terytorium gospodarczego musi być przezwyciężona dzięki zdobyciu pozanarodowych obszarów gospodarczych... Dla ostatecznego załatwienia problemu Europy... musi być utworzone zjednoczenie gospodarcze, sięgające od Bordeaux po Odessę, które będzie stanowić kręgosłup Europy."*

Zwycięstwa Hitlera, będącego na żołdzie kapitalistów, idącego na pasku monopolów, były tym samym zwycięstwami kapitalizmu, rozszerzeniem jego sfery wpływów, a jeśli w dodatku miało to pociągnąć za sobą unicestwienie swego najgroźniejszego wroga: socjalizmu radzieckiego, to

(Dokończenie na str 3)



*W przeddzień wybuchu wojny Polska otrzymać miała pożyczkę od Anglii. Rozmowy między obu rządami nie doprowadziły jednak do realnych wyników. Stąd dowcip „Wróbli na dachu" z 2. 7. 39: — Czy pan wierzy w bociany?*



Drugie wydanie wieczorne

POLSKA ZACHODNIA

Dziennik Polskiego Zagłębia Węglowego

Nr 241 / Rok XIV Katowice, piątek 1 września 1939 r. Cena 10 gr

ANGLICY i FRANCUZI bombardują Berlin i Hamburg

*Nadzwyczajne wydanie katowickiego dziennika „Polski Zachodniej" z dnia 1. 9. 39 karmiło czytelników Śląska, w połowie już zajętego przez armię hitlerowską, optymistycznymi wiadomościami, które rychło miały się okazać nieprawdą.*

JACEK BRZYM

# ODWIEDZINY u Dioklecjana

Hitler nie pojawił się nagle. Byli już przed nim inni Hitlerzy, z którymi historiografia kościelna, lub nawet papieże obeszli się surowo jak na to zasługiwali. O wiele ostrzej i bardziej stanowczo, niż z Adolfem Hitlerem z Braunau. Jest w historii szczególnie jaskrawy prototyp Hitlera, dla którego Kościół ma jedynie przekleństwo i sąd jaknajsurowszy. Tym Hitlerem jest cesarz rzymsi Dioklecjan, panujący od 284 do 305.

Warto zrobić parę porównań, wiele się można nauczyć na takiej wycieczce w głąb historii. Dioklecjański dekret przeciw chrześcijanom z roku 303 to rodzony brat hitlerowskich ustaw norymberskich przeciw Żydom. Dioklecjan zabronił chrześcijanom, jak Hitler później Żydom, z podobnych zresztą względów, zajmowania stanowisk urzędowych w państwie, korzystania z praw właściwych obywatelom kraju i dochodzenia tych praw przed sądami, uprawiania nabożeństw i nakazał zniszczenie świątyń oraz spalenie na stosie ksiąg religijnych. Analogie są zadziwiające. Już w przeddzień dekretu dioklecjańskiego żołdacy prefekta gwardii zrównali z ziemią wielki ościół w Nikodemii, tak samo jak przed wydaniem ustaw norymberskich SA-mani podpalali bóżnice, równali je z ziemią. Zarówno tamten dekret jak i owe ustawy pozwalają w praktyce na znęcanie się nad pozbawionymi opieki prawa przeciwnikowi; zaczyna się wielka grabież w domach chrześcijańskich (żydowskich), karanie bez wyroku. Dioklecjan w trzecim punkcie swego dekretu zezwala na stosowanie męczarni wobec przebywających w śledztwie chrześcijan, bez względu na ich pozycję społeczną Te same zarządzenia wyszły z kancelarii Himmlera, zastrzegającego się nadto, że nawet ewentualne dawne zasługi dla państwa (n. p. oficerów pochodzenia żydowskiego z okresu pierwszej wojny światowej) nie mogą być przeszkodą w stosowaniu w całej rozciągłości zarządzenia o tępieniu „wroga". Wiemy, że zarządzenia te później w praktyce rozciągnięto i na inne narodowości, na Polaków i Rosjan i Ukraińców, a nawet na Francuzów czy Włochów; wiemy też, że nie było przed nim ucieczki nawet wówczas, gdy się było Niemcem, ale buntującym się przeciw faszyzmowi.

Co za fascynujące dzieje! Bo oto mamy dalszą analogię. Mamy dioklecjański pożar Reichstagu! Dwukrotnie wybuchał pożar w pałacu cesarskim w Nikodemii. Pożar oczywiście był przygotowany przez dioklecjańskich Goeringów. I rzecz jasna przygotowany po to, by jeszcze jedną zbrodnię przypisać chrześcijanom. Wówczas chrześcijanom, podczas gdy w dwudziestym wieku ta sama komedia posłużyła do wytoczenia groteskowego procesu przeciw komunistom.

I wreszcie same prześladowania jakże podobne są do siebie, mimo dzielących je siedemnastu wieków cywilizacji i kultury. Biskup tego straszliwego okresu Euzebiusz, pozostawił obszerne sprawozdanie, powiedzielibyśmy nawet językiem dzisiejszym: reportaż, z tych lat. Każde słowo tu napotykane przywołuje nam na pamięć wiek dwudziesty, wydarzenia okresu hitlerowskiego Prześladowania — pisze Euzebiusz — zwracały się przede wszystkim przeciwko tym, którzy wyróżniali się bogactwem i urodzeniem, godnością, wymową i erudycją. Tym samym zrazu kieruje się hitlerowska gwardia śmierci przy prześladowaniach Żydów, przy tępieniu inteligencji polskiej — przy ustalaniu, kto n. p. na Śląsku może zostać przyjęty na Volkslistę a kto nie. Sam opis męczarni zaś, pozostawiony przez Euzebiusza, w wielu szczegółach przypomina najautentyczniejszy pamiętnik oświęcimski! Tam zaś, gdzie nie przypomina męczarni hitlerowskich, różni się od nich łagodnością. Były zresztą już wówczas obozy koncentracyj-, w których dioklecjańscy kombatanci znęcali się nad więźniami nie gorzej od ss-owskich.

W jakim celu snujemy te analogie? Otóż chcemy po prostu udowodnić, jak różne są zapatrywania dziejopisów i dostojników Kościoła na dwa tak podobne okresy historyczne, jak różny ich stosunek do prześladowców. Okres Dioklecjana był okresem męczenników, gdy do walki stawali wielcy chrześcijanie, gdy szli na śmierć męczeńską jako przykład i zobowiązanie dla następnych pokoleń. Papieże okresu dioklecjańskiego cały swój wysiłek poświęcali walce ze zbrodniczą organizacją państwową Dioklecjana. Działo się tak w obronie praw chrześcijańskich. Jakże zmieniło się nastawienie stolicy apostolskiej przez te siedemnaście wieków, skoro w tak podobnym okresie tępienia ludzkości za jej przekonania religijne, za jej pochodzenie i uczoność, nie ozwał się głos papieża, który by potępił zbrodnię z tą samą apologetyczną gorliwością i siłą, z jaką potępiali ją męczennicy dioklecjańscy.

Nie, papież Pius XII nie jest apologetą, którego czcić będzie Kościół Nie jest Euzebiuszem, który by pozostawił po sobie pamięć straszliwej zbrodni, jaka ciążyła nad ludzkością. Nie jest obrońcą poniżonych przez faszyzm. Nie jest opoką, na której zbudować można by Kościół najtrwalszych ludzkich wartości.

Papież Pius XII jest politykiem. I jako polityk paktował z faszyzmem, którego sprzymierzeńcami są dziś politykierzy zachodnich Niemiec i dalszego kapitalistycznego Zachodu. Ta lekcja historii, którą dają nam odwiedziny u rzymskiego csarza Dioklecjana, bardzo się nam przyda w ocenie obecnego władcy Watykanu. Pozwoli nam się także usprawiedliwić z użycia zbyt gorliwych słów potępienia.

Nie wiemy, czy Pius XII wczytuje się dokładnie w te stronice historii Kościoła. Nie wiemy, czy widzi jakieś analogie. Wiemy jednak, że w niczym nie przypomina wyznawców tamtego okresu, papieży i biskupów, którzy oddawali swą krew, nawet nie za samą sprawę Kościoła, ale w ogóle za pogwałcenie praw ludzkości, za zdeptaną godność ludzką. Zachowanie się Piusa XII w ciągu minionych lat hitlerowskich jest najwymowniejszym przykładem na nasze twierdzenie.

JACEK BRZYM

KAROL OKOŃSKI

# Krwawiąca granica

Wybory do zachodnioniemieckiego parlamentu związkowego przeprowadzono naturalnie pod łagodnym naciskiem władz okupacyjnych. Chrześcijańscy demokraci otrzymali najwięcej głosów. Mieli bowiem najmniej wyraźny program wyborczy i najpełniejsze kasy. Jak teraz przy tworzeniu rządu w tym względzie dadzą sobie radę ze swoimi wrogimi braćmi, socjaldemokratami, stanowi ich własny problem. Nas interesuje inna sprawa.

Obie czołowe grupy polityczne próbowały pozyskać dla siebie przybyszów ze wschodu. Ci stanowią dzisiaj bezwzględnie godną uwagi część zachodnio-niemieckiej ludności, a w każdym razie siłę paru milionów głosów. Są to — o ile pochodzą oni ze Śląska — prawie wyłącznie katolicy.

Prawdopodobnie przeważyli oni przy wyborach, stanąwszy po stronie chrześcijańskich demokratów.

Albowiem chociaż obie czołowe partie zawsze podkreślały, że nie uznają granicy na Odrze i Nysie, reemigranci wierzyć będą więcej chrześcijańskim demokratom, którzy stanowią w gruncie rzeczy tylko dawne Centrum w troszeczkę nowszym wydaniu. Partię, która od dawna była na Śląsku przodująca, albowiem opierała się o autorytet kościoła katolickiego. W walce wyborczej podkreślali oni dość wyraźnie, że na wschodzie domagają się przynajmniej granic z r. 1939. Bez nich są — ich zdaniem — Niemcy niezdolne do życia.

Na ten temat można mieć wcale różne zdanie. Praojcowie dzisiejszych katolickich polityków zachodnich Niemiec, ci wszyscy Windthorstowie, Hintzowie i Schorlemer-Alstowie, nie pytali o zdolność do życia młodego państwa niemieckiego, kiedy już w roku 1872, a więc w rok po jego powstaniu, otwarcie grozili kanclerzowi Bismarckowi odpadnięciem katolickich Niemiec południowych, gdy przy wyborze swoich ministrów i odpowiedzialnych urzędników nie uwzględnił w pełni ich katolickich roszczeń. Wówczas, w roku 1872, powiedział Bismarck w pruskim parlamencie bardzo słusznie:

*„Uważałem za jeden z najstraszliwszych objawów na gruncie politycznym fakt, że utworzyło się stronnictwo wyznaniowe, któremu — gdyby wszystkie stronnictwa chciały przyjąć ten sam punkt widzenia — musiano by także przeciwstawić stronnictwo ewangelickie. Stanęlibyśmy wtedy zapewne na niewymiernym gruncie. Tym samym wprowadzilibyśmy bowiem teologię na publiczne zebrania i uczynili ją przedmiotem dyskusji na trybunach."*

Również dzisiaj okazuje się, że taki Adenauer czy Ehrhardt starają się podporządkować Niemcy zachodnie absolutnej władzy kościoła katolickiego. Czegoś podobnego nie mówi się oczywiście, ale działa się w tym kierunku. W każdym razie mają oni za sobą papieża i Wallstreet. A jeśli Schumacher chce współrządzić, będzie oczywiście musiał pogodzić się z jarzmem watykańskim. Nie będzie to więc całkiem czyste państwo kościelne. Ale polityczne i materialne interesy Watykanu napewno tu nie ucierpią. Pod znakiem zapytania pozostaje, czy same Niemcy dużo tu zyskają.

Ale to jest dla owych ograniczonych, jako że tylko z perspektywy wieży kościelnej patrzących, polityków bardzo mało ważne. I właśnie Śląsk ma w tym względzie swoje doświadczenia. Teraz jest może pora właściwa, aby na to zwrócić uwagę. Albowiem prawie ci sami ludzie, którzy wówczas robili w Niemczech politykę, także dzisiaj siedzą w kompetentnych urzędach Niemiec zachodnich. Nie wygląda zaś na to, ażeby w ostatnich latach specjalnie zmądrzeli.

Kiedy bowiem w listopadzie 1918 roku Niemcy załamały się militarnie, ogarnęło cały naród zrozumiałe podniecenie. Cesarz uciekł do Holandii, szef sztabu generalnego Ludendorff do Szwecji. Ówczesny kanclerz Rzeszy, książę Max von Baden, nawiązał łączność z przywódcami partii socjaldemokratycznej i wespół z nimi usiłował zapewnić przynajmniej jaki taki porządek. Wszystko jednak drżało wtedy przed faktycznym przewrotem, przed rewolucją.

Także poczciwe mieszczaństwo we Wrocławiu. Z kardynałem i całą kapitułą katedralną na czele, z wysoką szlachtą i kochanym duchowieństwem. Radca sądowy Herschel zwrócił się wtedy jako pośrednik kasty panów do ówczesnego przywódcy socjaldemokratów Śląska, Paula Loebego. Zwołano mężczyzn ze wszystkich warstw społecznych na naradę do Wrocławia. Tam założono Śląską Radę Ludową (Volskrat). Poniekąd jako prowizoryczny organ rządowy dla prowincji śląskiej z Górnym Śląskiem.

Ta Rada Ludowa nie ingerowała jeszcze bezpośrednio w zarząd. Była ona tylko jakąś ultima ratio na wypadek, gdyby kapitalistycznej świetności w Berlinie miało się zupełnie nie powieść. Ale na wypadek tego był jej plan polityczny wyraźnie zarysowany i wypracowany aż do najdrobniejszego szczegółu. Gdyby w Berlinie obwołano rząd robotniczo-chłopski, wtedy Rada Ludowa miała przejąć zarząd republiki śląskiej. Miała się wyrzec Niemiec i spróbować albo w całkowitym połączeniu z Austrią albo w unii z nią stworzyć autonomiczną republikę. Pod władzą Centrum. A więc watykańskie państwo kościelne w nieco zmodernizowanej formie.

Taki był plan. I na ten polityczny nonsens zgodzili się także wówczas czołowi socjaldemokraci na Śląsku. Z bladego strachu przed bolszewickim upiorem rzucili się papieżowi w ramiona. Wystąpiłem wówczas przeciwko temu planowi. Przemawiałem i pisałem przeciwko niemu. Popadłem naturalnie w kolizję z wrocławskimi władzami partyjnymi. Odniosłem wtedy zwycięstwo. Główna zwierzchność partyjna w Berlinie, która po przewrocie dość mocno się chwiała, opamiętała się znowu, wstępując na drogę rozsądniejszej polityki i zaczęła bronić jedności Niemiec. Paul Loebe poddał się, a śląski ruch separatystyczny ustał.

Ale godny uwagi jest fakt, że granica owego planowanego państwa kościelnego miała przebiegać dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dzisiaj przebiega niemiecko-polska granica. A więc na Odrze i Nysie. I żaden z tych dziarskich polityków, którzy wówczas wymyślili Radę Ludową, nie troszczył się o to, czy Niemcy zginą, gdy Śląsk odpadnie od ich ciała. Dla polityków pokroju Ulitzki, Kaschnego, Lukaschka i Herschla nie było to wcale dziwne. Dla nich była uniwersalna władza kościoła katolickiego i Watykanu znacznie ważniejsza anizeli egzystencja tego czy owego państwa. Gdyby więc Niemcy miały być socjalistyczne, niechby sobie wiedy spokojnie przestały istnieć. Dziwne tylko, że socjaldemokraci Śląska zapomnieli wówczas o wszystkich zasadach socjalizmu.

Jedno trzeba stronnictwu kościelnemu przyznać. Zachowało ono konsekwentnie swoją polityczną linię. Albowiem już w parę miesięcy później zażądał proboszcz Ulitzka w Reichstagu obszernej autonomii dla Górnego Śląska. Naturalnie z tą ukrytą myślą, że ten samodzielny twór państwowy musi zostać całkowicie opanowany przez władze kościelne. Wezwał on ówczesny rząd, ażeby dobrowolnie udzielił Śląskowi autonomii. Przy tym pogroził także dość wyraźnie. Weimarska konstytucja — tak myślał — udzieli Górnoślązakom prawa samodzielnego zadecydowania o formie swojego rządu. Mieli także sami głosować, czy chcą pozostać przy Niemczech czy nie.

Oczywiście nie myślał Ulitzka wówczas o oderwaniu Śląska od Niemiec a przydzieleniu go Rzeczypospolitej Polskiej. Gdy mówił o Górnym Śląsku, miał na myśli cały Śląsk. A wtedy majaczył mu przed oczami taki sam polityczny projekt, jaki majaczył błogosławionej Radzie Ludowej. Wolne państwo śląskie pod nadzorem i kierownictwem katolickich ojców kościoła. To jednak byłoby bez wątpienia politycznym krokiem wstecz o więcej niż sto lat. I dlatego sprzeciwiłem się temu stanowczo. Polsko-niemiecka granica była wtedy już ustalona, a Śląsk podzielony. Byłoby zbrodnią, a właściwie politycznym głupstwem wsunięcie reszty prowincji, może ze Śląskiem, w postaci autonomicznego państwa między Niemcy i Polskę. Dlatego opowiedziałem się za tym, ażeby niemiecka część Śląska pozostała prowincją państwa niemieckiego. Ufałem przy tym oczywiście, że Niemcy rozwiną się powoli w duchu naprawdę socjalistycznym. I chociaż następne lata mnie trochę rozczarowały, w przyszłe socjalistyczne Niemcy wierzę także jeszcze dzisiaj .

Marzenie Centrum nie ziściło się. Śląsk nie zamienił się w państwo kościelne. Także podjęta przez Kaasa i Papena próba zduszenia ruchu socjalistycznego przez Hitlera nie powiodła się. Przeciwnie, kościół sam popadł za sprawą polityki narodowo-socjalistycznej w nieprzyjemne położenie. Jego wierni i prości księża wiele wycierpieli. Wielu znalazło śmierć w faszystowskich obozach koncentracyjnych. Ale wysokie duchowieństwo od biskupów wzwyż nie żyło źle także za panowania Hitlera. O ile wiem, ani jeden biskup niemiecki nie był aresztowany. Nic dziwnego, bo przecież papież popierał ideę faszystowską we Włoszech i Niemczech. Watykan kalkulował dobrze. Im bardziej utrapione będą ludy, tym mocniej uczepią się wiary.

Ale o uczciwym sojuszu między Watykanem a Hitlerem nie mogło oczywiście być mowy. Kiedy w roku 1944 Hitler zaczął się chwiać, w pierwszych szeregach zwartej opozycji znalazły się w Niemczech koła o orientacji watykańskiej. Na Górnym Śląsku w każdym razie rozdzielano już skórę, zanim jeszcze niedźwiedź został zabity. Wówczas odwiedził mnie ówczesny nadburmistrz Raciborza, Kaschny. Był to człowiek o mało opanowanym temperamencie. Zaraz po przywitaniu zaczął wyzywać na Lukaschka.

— Ten Lukaschek! Wszędzie się pcha. Znowu chce być na czele zarządu.

— A o cóż to wam chodzi? Co się takiego dzieje? — zapytałem zdumiony.

— Ach, to tylko tak... — I Kaschny zaczął mówić o czym innym. A w parę dni później sprzątnęło gestapo całe to gniazdo z „Treuhandstelle Ost" w Raciborzu. Lukaschek, Kaschny, Hoepker-Aschhoff i Brebek powędrowali do Moabitu, do więzienia śledczego. Matuschka został powieszony. Także Ulitzka dostał się do Dachau, chociaż na pewno nie miał ze spiskiem nic wspólnego. Albowiem wtedy był już dawno wygnany ze Śląska i siedział w Karlshorst pod Berlinem.

Mieli więc także wtedy ojcowie kościoła dobrego nosa. Zmiarkowali co się dzieje i zaczęli uprawiać swoją politykę. Gdyby w roku 1944 Hitler był zginął, był na Śląsku rząd Centrum gotów do objęcia władzy. Oczywiście z błogosławieństwem papieża.

A dzisiaj? No tak, widzimy przecież, co się dzieje w Niemczech zachodnich. Wilhelm II nie należał bynajmniej do najmądrzejszych. Ale miał słuszność gdy powiedział: *„Księża mają się troszczyć o swój kościół, a politykę zostawić w spokoju. Albowiem ona ich nic nie obchodzi."*

*Karol Okoński*

JAN BARANOWICZ

# ECHA

Spokojna jak pogoda, jak puch mewy czysta,
opuszcza „Aleksandra" mahoniową przystań.

Syreny ton wysoki w konchach uszu wzbiera,
gdy przechadzam się senny po nadbrzeżnych skwerach.

Ne szukam oczu morza, nic mi łan paproci —
głos ten w wieżę pamięci wbija się jak pocisk.

Marszczę czoło, zgaduję — już chwytam strzęp nuty,
tak gwarzą co dzień z sobą kopalnie i huty.

Śpiew jak zegar czas mierzy, jak gość w drzwi stukota,
odmyka i zawiera szychty ciężkie wrota —

Więc i tutaj, na złotej jak żywica plaży,
nie można ujść przed tobą, zapomnieć twej twarzy;

echami serce wzruszasz, trzymasz w wiernym związku,
skrzepły jak okręt w dymach, twardy jak brąz — Śląsku! —

HENRYK WORCELL

# U NAS INACZEJ

Rys. Marian Wyrożemski

Gajusowie gospodarowali już czwarty rok w Swarożycach pod Wałbrzychem. Mieli dwanaście hektarów ziemi, wielki, murowany dom i dwoje ludzi do pomocy: czterdziestoletnią wdowę, Zofię i dwudziestoletniego chłopaka, Wicka. W okresie zimowym mogli się obejść bez tych ludzi, trzymali ich jednak i płacili im rzetelnie, pragnąc, by zostali na wiosnę i lato. Zresztą Adam Gajus uważał, że jego żonie, Marii, należy się odpoczynek po trzech latach harówki, a małemu Jędrusiowi, który biegał już po izbie — więcej opieki i uwagi. Poza tym ojciec Adama jeszcze w jesieni pisał z Dąbrówki pod Tarnowem, że czuje się coraz gorzej, więc wypadało starego przed śmiercią odwiedzić i przy tej sposobności zobaczyć jak tam gospodaruje młodszy brat, Józef.

Termin wyjazdu wypadł w połowie stycznia. Po pewnym namyśle Gajusowie postanowili zabrać ze sobą Jędrusia. Niechże starzy zobaczą swego pierwszego wnuka, może to jedyna i ostatnia sposobność dla nich. W dzień przed wyjazdem Adam wysłał do brata telegram: „przyjeżdżamy środa rano, wyślij konia". Maria cały dzień piekła ciasta, pakowała do waliz różne podarunki i rozgorączkowana biegała po pokojach i piwnicach — chciała stanąć przed rodzicami Adama w całej okazałości gospodyni z Ziem Odzyskanych, pokazać im, że chociaż pochodzi z biednej rodziny i mężowi w posagu nic nie wniosła, to jednak jest panią niezależną od nikogo. Podniecenie jej było tymbardziej uzasadnione, że ona w ogóle starych Gajusów nie znała. Po powrocie z Niemiec latem 1945 roku zdążyła odwiedzić matkę w Bielsku, wziąć ślub z Adamem, którego poznała w Niemczech i natychmiast po skromnym weselu wyjechała z mężem za Odrę. Pochłonięci pracą nie mieli czasu odwiedzić starych Gajusów. Adam też ich nie widział od 1938 roku, tj. od chwili, gdy jako siedemnastoletni chłopak wywędrował z domu na zarobek przy budowie zapory na Dunajcu w Rożnowie — pełne dziesięć lat!

We wtorek po południu Wicek odwiózł ich na pobliską stację. Dzień był pochmurny i mroźny zarazem, w powietrzu błądziły niezdecydowanie rzadkie płatki śniegu, jakby zwapniałe pola, zaledwie przyprószone bielą odstręczały ludzki wzrok swym piegowatym, chorobliwym wyglądem. Gdy od strony Wałbrzycha nadjechał pociąg, Adam odszukał przedział dla matki i dzieci i sam się w nim ulokował, oświadczając konduktorowi, że się natychmiast usunie, gdy przybędą jakieś pasażerki. Zdążył jeszcze wyjść na platformę i przypomnieć Wickowi, by razem z Zofią pilnował bydła i dobrze karmił świnie. Chłopak uśmiechał się serdecznie i razem z ludźmi, którzy odprowadzili do pociągu swych krewnych czy przyjaciół, machał z daleka czapką. Maria też przytykała czoło do okna i pokazywała Jędrusiowi białe domy w Swarożycach, pola i rozległe częściowo zalesione wzniesienie, które ludzie ze wsi od dawna nazywali „Gajusową Górą".

— No — rzekł Adam rozsiadając się wygodnie na przeciw żony — może ta nasza podróż przyniesie nam wielką zmianę w życiu? Maria potrząsnęła przecząco głową i odpowiedziała: — Ja nie czuję, żeby tak było.

Mieli na myśli pewien projekt, o którym stary Gajus wspomniał w liście: mianowicie chciał, żeby Adam przeprowadził się do Dąbrówki i objął sześciomorgowe gospodarstwo w miejsce młodszego syna, Józefa, którego rad byłby wypchnąć na ziemie zachodnie. Adam w rzeczywistości nie



godził się na te transakcje, ale dla przyjemności pozwalał sobie poruszać tę sprawę, mówić o niej. Natomiast Maria ani myśleć nie chciała o opuszczeniu Swarożyc. Tu już się zakorzeniła, tu urodziła Jędrusia, tu był jej dom. Rozumiała, że męża ciągnie w rodzinne strony, bo często wspominał o jakimś Borku, o jakichś olszynach i skowronkach, ale zawsze te jego marzenia umiała stłumić jakimś argumentem.

— Ty myślisz — rzekła mu teraz, że tam byś pracował jak ty chcesz, a przecież i tam będą wypędzać gospodarstwa. A po drugie, skąd ja wiem, czy tam się zgodzisz z twoimi rodzicami. Ciekawam jak twoja matka wygląda, bo z fotografii nie wiele można wiedzieć. Ha, ha, ha — zaśmiała się niespodziewanie — ma swoją, już czterej lata i jeszcze jej nie widziała.

Jakie to dziwne czasy. — A ty jak, bardziej do matki, czy do ojca podobny? — Raczej do ojca. Józek ma więcej z matki.

Przystanek. Do wagonów wsiadło kilku zmarzniętych, ale wesołych pasażerów i pociąg znów ruszył. Właściwie to do samego Wrocławia nie było ścisku i dopiero na tej dużej stacji wagony się zapełniły. Do przedziału Gajusów weszły dwie kobiety z trojgiem dzieci: jakaś przyjemna, pulchna jak wyrośnięte ciasto pani z nadzwyczaj grzecznym chłopcem w wieku około czterech lat — i jakaś nędznie ubrana kobieta z dziewczynką okutaną w wełnianą chustę i dzieckiem śpiącym na rękach. Ktoś jej pomógł umieścić odrapaną walizkę na półce i bez pożegnania opuścił przedział, a kobieta z dziećmi wsunęła się w kąt, jakby zawstydzona swym ubóstwem. Od czasu do czasu rzucała na obecnych spojrzenia lękliwe i nieprzyjazne, jak gdyby się bała, by jej stąd nie wyproszono — a najchętniej zwracała swą chudą i jakby sponiewieraną wyzwiskami twarz ku oknu. Maria przez pewien czas nie mogła oderwać wzroku od jej plamistej cery i włosów nieuczesanych, wymykających się ciągle spod żółtej chustki. Zapadał zmrok, w wagonach zapalano lampy i oto nagle światło jakby wyodrębniło wnętrze przedziału od reszty świata — pasażerki poczuły się zagubione na wielkich przestrzeniach Dolnego Śląska i niby członkinie międzyplanetarnej wyprawy zapragnęły poznać się bliżej, zżyć z sobą. Pierwsza Maria zwróciła się do swej miłej sąsiadki: „przepraszam, dokąd pani jedzie?" W pół godziny jazdy od Wrocławia wiedziały o sobie absolutnie wszystko.

Gdy w zimowej pomroce ukazały się nagle ruiny Wrocławia, nierzeczywiste jakieś niby stylizowane dekoracje teatralne, Gajus z pewnym zdziwieniem przypomniał sobie, że tu niegdyś toczyła się wojna, a potem że w ogóle była wojna. Rzecz nie do wiary! Ileż to razy od tego czasu pocił się w żniwa, ile razy jesienne chłody ziębiły go podczas orki! A teraz jedzie z rodziną na wschód. Tam jest Warszawa, Kraków, „centrum" — a jemu zdawało się, że „centrum" to Wałbrzych i to pole w Swarożycach, które ludzie nazywają „Gajusową Górą". Kraina, którą stamtąd oglądał, nie była podobna do żadnej innej: rozległy, nie kończący się kompleks zwalistych i zalesionych gór, pełen szerokich wądołów i przestronnych dolin — kraj nadający się na rezerwat dla legendarnych wielkoludów. Gdzieś tam poniżej, w P. G. R-ach terkoczą traktory i słychać rzegot przejeżdżających pociągów, a w głębi ogromnej doliny dymy fabryczne dalekiego Wałbrzycha rysują na niebie jakieś znaki, które w jego sercu układają się w słowo: POLSKA.

— Ach, proszę pani — uświadomił sobie, że mówi żona — co ja się wycierpiałam z tym Jędrusiem! Strasznie ciężki poród miałam. — Nie brał udziału w rozmowie. Jak każdy mężczyzna, czuł się między matkami i dziećmi kimś zbędnym, dalekim od ich spraw i zainteresowań, mniej ważnym niż Jędruś lub ta naburmuszona dziewczynka spod okna. Zresztą nie lubił rozmawiać kiedy dziecko płacze, a właśnie ten brzdąc na rękach kobiety darł się skrzekliwie, ordynarnie.

— Matko święta! — wykrzyknęła niespodziewanie kobieta — co to za dziecko, to naprawdę... Jakbym go rypnęła, to... — potrząsnęła nim gwałtownie i odsunęła od siebie, jakby miała zamiar rzucić je na środek przedziału.

— Może on pieluszki ma mokre — wtrąciła Maria — niech pani zobaczy.

Istotnie tak było. Kobieta wściekła i równocześnie zawstydzona gmerała w swym skromnym bagażu, wyjmując jakieś brudne szmatki. Po chwili dziecko uspokoiło się i umilkło. Maria i jej sąsiadka jęły wyciągać smakołyki, karmić chłopców, częstować się ciastkami, a dziewczynkę jabłkami.

Pociąg pochłaniał dalekie przestrzenie, koła stukotały monotonnie lub jęczały, wrzynając się między szyny na zakrętach toru — od czasu do czasu na czarnych ekranach okien ukazywały się oświetlone stacyjki — nudne fragmenty tygodnika filmowego. Dzieci ułożyły się do snu, kobiety przestały rozmawiać — daleko na przodzie słychać było sapanie parowozu.

W Opolu wsiadło do pociągu sporo pasażerów, a do przedziału matek weszła jakaś młoda, ruchliwa pani i narobiła trochę ruchu, kokosząc się ze swym bagażem na ławkach, na półkach, na podłodze. Ale wkrótce znów cisza zapadła, Maria drzemała oparłszy się o plecy męża, Adam wyjął gazetę kupioną we Wrocławiu i zaczął czytać, kiwając się w takt ruchu pociągu.

— Idźże ty cholero!

To ta spod okna. Nie wiadomo tylko, czy do córki leżącej na jej kolanach, czy do kogoś zostawionego we Wrocławiu. Nowa pasażerka zerknęła na Gajusa i pomyślała: „no, coś podobnego" — Gajus popatrzył na nią i pomyślał: „rzeczywiście", potem oboje spojrzeli na drzemiącą panią: „nie, nie słyszała". W sąsiednim wagonie gwar ucichł, słychać było tylko pojedyncze głosy. Ktoś mówił:

— Ja nie mam zdrowia, żeby tak ciężko harować. Po co mi te hektary jak ja se mogę w Bronowicach ogródka pilnować i też na życie zarobię. Już mi te Ziemie Odzyskane dość zdrowia zjadły. — Pewnie jakiś stary chłop, bo ktoś do niego mówi przez „wy".

— Dużeście gospodarstwo mieli?

— Osiem hektarów. Ziemia dobra, ino stajnia do niczego. Pożyczkę by dali, pewnie, ale potem trza terminowo spłacać.

Gajus przypomniał sobie przeczytany gdzieś urywek artykułu: „Ziemie Odzyskane chłoną element zdrowy, energiczny — wypluwają wszystko co słabe, niezdecydowane, chore. Młode pokolenie, urodzone i wychowane na Ziemiach Odzyskanych, to nadzieja naszego narodu." A ten chłop, to właśnie jeden z „wyplutych". Nie, teraz już Gajus wie na pewno, że nie zgodzi się na zamianę gospodarstw, nie osiedli się w Dąbrówce. Ale pomyśleć, pomarzyć, owszem, można. Jakby to przyjemnie było kosić siano w Borku. Maria przyszłaby z Jędrusiem, przyniosła śniadanie w koszyku, cień pod olszynami, skowronki pod niebem i taka przykopa z wodą i niezapominajkami. To byłoby szczęście, jakieś absolutne ziemskie szczęście.

— Znowu się uchlał świnia...

To ta spod okna. Ciągle gada przez sen. Pewnie ma męża pijaka i dlatego dzieci takie zaniedbane. „Młode pokolenie, urodzone i wychowane na Ziemiach Odzyskanych, to nadzieja naszego narodu." A właśnie może tych dwoje razem z matką Ziemie Odzyskane wypluwają tym pociągiem na wschód. Nieprzyjemnie, że Jędruś też tym pociągiem... Ale Jędruś wróci za parę dni... zdrowy, energiczny element... nadzieja narodu... Nie, o Borku nawet myśleć nie trzeba.

Do Krakowa przyjechali przed północą. Pociąg dalej nie szedł. Zgodnie z rozkładem jazdy Gajusowie mieli wyjechać w stronę Tarnowa o szóstej rano, a kobieta z trojgiem dzieci miała pociąg do Miechowa o ósmej. Chciała się ulokować w poczekalni i dopiero po długich namowach zgodziła się pójść z Gajusami do „izby matek" zapowietrzonej karbolem. Opiekunki z Ligi Kobiet wyznaczyły dzieciom łóżeczka, zagotowały kakao i starały się uciszyć wybite ze snu, rozwrzeszczane brzdące. W ogóle zrobił się taki rozgardiasz, że Adam chętnie skorzystał z przepisu zabraniającego mężczyznom przebywania w izbie i wyszedł do poczekalni. Wypił w bufecie dwa piwa, potem wałęsał się po całym dworcu. w poczekalni pierwszej klasy dzwoniły kufle, w poczekalni trzeciej klasy też dzwoniły kufle, nabrzmiały echem głos oznajmiał: „uwaga, uwaga! Pociąg pospieszny w stronę Katowic, Opola, Wrocławia wjeżdża na peron pierwszy, tor drugi" — a wskazówki zegara wcale nie posuwały się naprzód. Więc wypił jeszcze parę piw i dopiero gdy poczuł w głowie miły zamęt, przestał popychać wzrokiem wskazówki, zapomniał o czasie. Parę minut po piątej wrócił do izby matek, zbudził Marię i kazał jej ubierać Jędrusia. Kobieta z Wrocławia spała, więc nie pożegnali się z nią.

— Nie masz pojęcia, jakie ona ma życie — szepnęła Maria do męża — wszystko mi opowiedziała. Później ci powiem.

Podziękowali pięknie opiekunkom i z rozespanym Jędrusiem i z walizami opuścili gościnną izbę. Pociąg przeznaczony dla robotników, jadących do Bochni i do Mościc, stał już na peronie. Powietrze był mroźne, ale i wilgotne zarazem, ziębiło nieprzyjemnie aż do kości — Maria otulała Jędrusia kołderką i sama dygotała.

— Nie masz pojęcia, co ona przeżyła — mówiła kręcąc się po pustym przedziale — Fuj, jak od ciebie piwo czuć! Jak mogłeś na takie zimno... Wiem, jej mąż pijak i złodziej. Dwa razy aresztowany, nikt go do roboty nie chce przyjąć. Mówiła, że Wrocław nie lubi pijaków. A te dzieci takie złe, to przez niego.

Jej, jak ona przeklina życie. Mówi: „Och, Ziemie, Ziemie Odzyskane... ja wszystko tam straciłam, życie, miłość... wszystko mi Ziemie Odzyskane zabrały, a teraz mnie jak zmiętą szmatę wyrzucają. I męża też wyrzucą, bo Wrocław nie lubi pijaków..." Ona teraz jedzie do Miechowa, tam ma jakichś krewnych, to może ją przygarną. A na Ziemie Odzyskane już nigdy nie wróci.

— Śmieszne — przerwał jej Adam — ona sama sobie winna i jej mąż, a nie Ziemie Odzyskane.

— Może. Ale ona później tak jakby usprawiedliwiała męża. Mówiła, że tam straszne wymagania w jakiejś fabryce, w Pafawagu zdaje się, wyścig pracy, a jej mąż słabowity.

—Bo za dużo pije.

Ja też myślę... No — spojrzała przez okno na peron — nareszcie ruszamy.

Jak prędko będziemy na miejscu?

— O ósmej.

— Ciekawam, czy twój brat będzie czekał na nas.

— Byłby świnią, gdyby nie przyjechał.

Po wagonie kręcili się robotnicy jacyś śpiący i niemrawi, dwaj kolejarze ziewali nasuwając czapki na oczy i szukając wygodnego oparcia w kątach przedziału.

Przed Bochnią zaczęło się rozwidniać. Adam otrząsnął się z drzemki i ciekaw rodzinnych stron patrzył na płaskie, porznięte w zagony pola, na rzadkie, karłowate lasy i parterowe domki kryte strzechą. Wszystko to niby jakieś swojskie, znajome, a przecież nie takie jak dawniej. I nasyp kolejowy nie taki wysoki, jak sobie wyobrażał. Może pod Tarnowem będzie inaczej.

Narastający dzień obnażał krostowate pola i chuderlawe drzewa, nad krajobrazem rozpościerało się coś szarego — ani to chmury, ani to niebo, może otynkowane szronem sklepienie. Po raz pierwszy od chwili wyjazdu ze Swarożyc sercem Adama targnął lęk, którego przyczyny nie uświadamiał sobie. Czuł tak, jak gdyby się kurczył w sobie, cofał, nie chciał jechać dalej. Mimo woli spojrzał na śpiącą Marię i poczuł się lepiej; w niej było coś z szerokich gór Wałbrzycha, coś, z wielkiego domu spod „Gajusowej Góry" — pachniała lasem i dymem dalekich fabryk.

Już Biadoliny.

— Maryś — trącił lekko żonę — wstać, trzeba Jędrusia ubierać. Za oknem przesunęła się jeszcze tablica z napisem „Sterkowiec" — Adam z niepotrzebnym pośpiechem ustawił walizy przy drzwiach. Przyjęcie, z jakim się spotkali na stacji w Bogumiłowicach, sprawiło im rozczarowanie. Ciągle jeszcze mieli w pamięci stacyjki na linii Wałbrzych — Wrocław, okrzyki ludzi żegnających się lub witających, całusy, uściski, powiewanie kapeluszy i chusteczek, twarze wzruszone, oczy błyszczące. W sercach swoich niesli ten rozgwar Ziem Odzyskanych, więc zdawało im się, że i tu spotkają to samo. Tymczasem spotkali próżnię. Pociąg zatrzymał się na minutę i pojechał dalej ku widniejącym na wschodzie kominom Moscic — i oto Gajusowie zostali na torze sami. Dopiero po chwili zobaczyli pod budynkiem stacyjnym mężczyznę okutego w szalik i kurtkę z podniesionym kołnierzem i domyślili się, że to jest Józef. Nie wyszedł naprzeciw nich, nie pospieszył, by pomóc dźwignąć walizy. Przywitali się i ucałowali w milczeniu i patrzyli na siebie z uśmiechem zakłopotania — Adam stwierdził, że brat wygląda zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażał, że to już nie ten chłopiec, którego pamiętał sprzed dziesięciu laty. Wreszcie Józef rzekł:

— No to chodźcie do wozu.

— Czemuś się tak owinął? — zapytał Adam.

— Dziąsła mnie bolą, a zimno szkodzi.

— U lekarza byłeś?

— Byłem, ale on nic nie może. Trzeba długo badać, najlepiej w szpitalu.

— No wiem, Józek, ja bym tego nie ścierpiał. Czemu nie idziesz do szpitala?

Nie umiał na to odpowiedzieć. Zresztą, byli już przy wozie, a raczej wózku z półkoszkami i wiązką słomy.

— Jaki ten konik mały! — zdziwiła się Maria — czy on nas uciągnie?

Rzeczywiście, włochaty kucyk wyglądał niepokaźnie i podobny był raczej do muła niż do konia. Józef nic nie odpowiedział i Adamowi zrobiło się przykro, że Maria tak z miejsca krytycznie wyraża się o inwentarzu brata.

— To już taka rasa — rzekł — tu wszyscy takie konie hodują.

Ruszyli stępa i dopiero gdy minęli most kolejowy Józef jął szarpać lejcami, cmokać, śmigać batem, zacinać, unosić się na siedzeniu, straszyć, krzyczeć: „wio, Gniady!" — aż kucyk po kilku próbach poderwał się do kłusa i potem już przebierał nogami miarowo aż do najbliższego zakrętu. Zbliżali się do Maryszewa. Adam wypytywał brata o matkę, o ojca, ale właściwie to myślał o czym innym. Jechali przecież krainą, która w niedawnej przeszłości wydała znakomitych ludzi: Bojkę, Witosa, Jaracza. Zdumiewające, że właśnie z tej jałowej, piaszczystej ziemi, z tych chałupek krytych słomą wyłoniły się jednostki tak wybitne, przewyższające tych, co na tejże samej ziemi mieszkali w pałacach Sanguszków i Dolańskich. Skąd oni się wzięli, jakim cudem wyrośli? Dlaczego w tym miejscu, a nie o kilka powiatów dalej? I dlaczego teraz ich nie ma, czemu teraz na tej ziemi nie rodzą się tacy jak tamci? Oto pytania, które Gajus zadawał sobie w myśli, słuchając równocześnie odpowiedzi brata. Nie zdawał sobie sprawy, że wojna przyczyniła się do ogołocenia tej ziemi z najlepszych ludzi, a żywiołowy pęd nad Odrę wyjałowił ją do reszty. Nie przyszło mu na myśl, że on sam jest jednym z lepszych synów tej ziemi, że ma dopiero dwadzieścia siedem lat i że w przyszłości może dorównać swym wielkim ziomkom. I wstydził się trochę przed żoną, że brat taki apatyczny, że konik zabiedzony, że chałupki takie małe, a okolica smutna.

—Palisz? — zapytał wyciągając papierośnicę do brata.

— Owszem, palę. Ale jak nie mam, to się obejdę.

— Naprawdę? Możesz wytrzymać bez papierosa dzień, dwa?

— Nawet pięć dni. To nic trudnego, trzeba mieć tylko trochę silnej woli.

Adam spojrzał ukosem na skuloną od zimna i zakutaną postać brata i już miał powiedzieć: „co ty tam wiesz o silnej woli" — ale zmilczał, bo mu się nagle żal zrobiło tego człowieka. „Biedak, pewnie się liczy z każdym groszem". Wjechali do Maryszewa. Konik jakby przeświadczony, że tu wśród chałup i ludzi nie przystoi mu tak wariackie tempo, zwolnił dostojnie i kilkakrotnie wyciągnął łeb do przodu, jak gdyby chciał poprawić sobie kołnierzyk.

— Czekajcie no! — zawołał Adam szykując się do zeskoczenia z wozu i patrząc w stronę budynku z napisem: „wyszynk piwa i wódek" — trzeba przecież coś kupić. Czy ojciec lubi się jeszcze napić?

— O, jak tylko ma, to smoli...

Adam wbiegł do szynku i już od progu zawołał:

— Proszę mi dać litr wódki, pół litra i ćwiartkę! A najpierw proszę nalać trzy duże kieliszki.

Wypił jeden, a dwa pozostałe wyniósł do wozu.

— Zagrzejcie się trochę.

— Toś dobrze zrobił, ja się z chęcią napiję — zawołała Maria.

— Wypij i ty — zachęcił Adam brata, który się trochę ociągał — będzie się nam lepiej rozmawiać.

Zaraz za Maryszewem zaczynała się druga wieś, Bobrowniki nad Dunajcem, a za Bobrownikami miasteczko Buganów. Kucyk od czasu do czasu decydował się na kłus, dzięki czemu osiągnął przewidziane w planie 63 procent normy. Po wypiciu wódki humor podróżnych wyraźnie się poprawił — Józef stracił swą sztywność w szyi i zwracał się twarzą do brata.

— Jak widzę — rzekł — to ty też lubisz pociągnąć. Prawda szwagierka? — zwrócił się do Marii.

— Owszem, lubi pić. Ale nie myśl, że często.

— Ja wiem, raz a dobrze.

— Ja go nawet lubię jak sobie podpije — mówiła Maria jakby o kimś nieobecnym — jest wtenczas ciekawy i zabawny. Ale jak wypije za dużo...

— ... awanturuje się, co?

— Nie, nie powiedziałabym. Awantur nie urządza, tylko ludzi obraża. Mówi im prawdę w oczy, a ludzie tego nie lubią i przez to robi sobie wrogów. Chcieli go nawet wyrzucić z Rady Narodowej...

— Chcieli, chcieli... — obruszył się Adam — chcieli, ale skończyło się na tym, że ja wylałem dwóch złodziei. I jeszcze dwóch mam na oku, jak tylko wrócę...

— Ty lepiej już nie zadzieraj z nimi, bo tylko kłopotu narobisz!

— No dobrze, dobrze... ja wiem, co robię. A tu, Józek, jak u was, szykują się jakie zmiany?

— A niby jakie?

— No, spółdzielnie, gospodarstwa kolektywne.

— A no, gadają o tym, ale ludzie nie chcą przystać. Byli w Maryszewie jacyś specjaliści i chcieli kołchozy zakładać, to ich chłopi drągami i widłami przepędzili i teraz spokój. Każdy przecie woli na swoim siedzieć.



— No dobrze, a czy wy nie zdajecie sobie sprawy, że kolektywizacja musi być przeprowadzona i będzie przeprowadzona?

— A no, jak nas zmuszą, to pewnie, ale dobrowolnie nikt nie chce. A ty byś chciał?

Adam milczał chwilę, po czym spojrzał na brata i rzekł z naciskiem:

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę, to nie bardzo bym chciał. Ale widzisz, jest to różnica między nami, że ja sobie zdaję sprawę, że trzeba chcieć, a ty nie. No, pogadamy jeszcze o tym w domu. Czemu nie jedziesz przez rynek? — zapytał widząc, że brat skręca na zakościele.

— Tędy bliżej...

— Szkoda, miałem ochotę zobaczyć jak teraz Buganów wygląda — szkoła, kościół...

— Jeszcze zobaczysz; nic ciekawego.

— To nie o to chodzi. Mój Boże — zwrócił się do żony — tyle lat, tyle lat... Jakie to dziwne, kiedy się po latach wraca w swoje strony. Człowiek szuka czegoś, co było i właściwie nie znajduje. Niby wszystko takie same, a... A jak tam ksiądz Kominek? A nauczyciel Winiarski jeszcze jest?

Wymieniał dziesiątki nazwisk, wypytywał o kolegów z siódmej klasy, o aptekarza, o starego idiotę Klimkę, przypominał sobie, kto mieszka w domach, które mijali — i oto znaleźli się na drodze, która jak strzelił prowadziła do rodzinnej wioski, Dąbrówki. Właściwie nie była to nawet wioska, tylko osada zamieszkała przez dwadzieścia kilka rodzin i rozrzucona na przestrzeni niemal dwóch kilometrów.

— Widzisz Maryś, tak tu wygląda: od południa i od zachodu las, od wschodu Buganów, a od północy Wola Buganowska. Dajno mi tu Jędrusia, tu, na kolana... Ach, Józek, powiedz no mi, co z Marciszównami, obie wyszły zamąż? Wiesz Maryś, z jedną tom trochę flirtował, ale tak nieszkodliwie, mieliśmy wtedy po piętnaście lat. Popatrz Jędruś, tam stary Bąk na podwórzu. No, no, on jeszcze żyje! A co u Kostrzewy słychać? Dajno Jędrusiowi ten bat... wio, wio gniady! Już widać nasz dom... tam pod lasem... Aj, aj, ciekawym jak tam ojciec... Mówił chaotycznie nie czekając na odpowiedzi brata, kłaniał się ludziom, którzy z wielkim zaciekawieniem wyzierali z chałup, pokazywał Jędrusiowi i Marii każdą zagrodę — aż wreszcie wóz skręcił na polną drogę i w chwilę później zajechał przed dom starych Gajusów.

Przed progiem czekało na Adama troje ludzi: ojciec, matka i bratowa.

(Dokończenie w następnym numerze.)

*Henryk Worcell*

Listy z Opola

# Młodość szumi w teatrze

Teatr Ziemi Opolskiej wchodzi z nadchodzącym sezonem teatralnym w nowy etap rozwojowy. Placówka opolska otrzymała bowiem awans na samodzielną jednostkę teatralną, awans połączony z rozszerzeniem kompetencji artystycznej i ze zwiększeniem dotacji państwowej — i to stworzyło dla Teatru Opolskiego podstawę dla nowego rozwoju. W ubiegłym sezonie znajdował się Teatr Opolski pod artystyczną i finansową kontrolą naczelnej dyrekcji Teatrów Śląskich w Katowicach. Kontrola ta nie była wprawdzie dla teatru uciążliwa, ale bądź co bądź krępowała kierownictwo teatru w jego poczynaniach. I dlatego też Ministerstwo Kultury i Sztuki zniosło obecnie tę zależność — i na kierownika opolskiej sceny mianowało p. Lecha Zarzyckiego.

Kim jest nowy dyrektor? Nie ma on jeszcze w swej karierze artystycznej zapisanych kart ze „stażem" dyrektorskim. Jest to młody, 27-letni aktor, który niedawno ukończył studia dramatyczne pod kierownictwem Janusza Strachockiego. Pierwsze kroki artystyczne rozpoczął dyr. Zarzycki we Francji, gdzie znalazł się w czasie wojny. Okres okupacji wypełnia udziałem we francuskim Ruchu Oporu, a po tym następują studia na scenach francuskich, a przede wszystkim paryskich. Dyr. Zarzycki zamierzał początkowo studiować medycynę, ale rychło przekonuje się, że bardziej odpowiada mu krzepienie dusz ludzkich, niż leczenie ciała. Wraca do kraju — i tu po zakończeniu studiów dramatycznych, otrzymuje angagement do chlubnie rozwijającej się sceny Teatru Wybrzeża, pozostającego pod kierownictwem Ivo Galla. Owocem tej pracy jest awans dyrektorski Zarzyckiego.

Młodość ma swe niezawodne walory. I oto dyr. Zarzycki w trzy tygodnie po otrzymaniu nominacji zmontował już w pełni nowy zespół aktorski teatru, obejmujący 35 nazwisk.

A dnia 1 września nastąpiła inauguracyjna premiera nowego teatru. Wypełniła ją Fredrowska „Zemsta" w reżyserii znakomitego artysty scen warszawskich Jerzego Leszczyńskiego, który jednocześnie odtwarza rolę cześnika Raptusiewicza.

Premiera „Zemsty" udała się. Aplauz publiczności opolskiej jest duży. Wymownym tego dowodem są komplety na pierwszych przedstawieniach i huczne brawa, jakimi nagradzani są poszczególni wykonawcy z Aleksandrem Sewrukiem (w roli Papkina) i Lidią Kownacką (Podstoliną) na czele.

— Jak przedstawia się dalszy zespół aktorski? — rzucam pierwsze pytanie.

*Jak przedstawia się dalszy zespół aktorski?*

— Mam w zespole ogółem 35 sił artystycznych. Spośród „starej", opolskiej gwardii artystycznej zaangażowałem 7 osób: Kwiatkiewiczową, Szpaczyńską, Kownacką, Mielczarkównę, Murawską, Dubrawskiego, Kubińskiego i Rogalskiego. Pozyskałem jednocześnie szereg sił z teatrów warszawskich m. in. Alfredę Bail, Michałowską, Piotrowską, Helenę Wasównę, Gorkowskiego i Życkiego. Ponadto zasiliłem zespół szeregiem aktorów z teatrów krakowskich. Wymienię tu: Barbarę Wojtowicz, Mierzyńską, Czerskiego i Zagórskiego.

— *A jak przedstawia się sprawa reżyserii?* — pytam dalej.

— „Zemstę" reżyseruje Jerzy Leszczyński. Nazwisko to nie wymaga chyba rekomendacji. Ponadto pozyskałem reż. Feliksa Chmurkowskiego, Zbigniewa Koczanowicza i Kazimierza Rudzkiego, którzy okresowo reżyserować będą poszczególne sztuki.

— *A repertuar?* — zapytuję ciekawie.

Pragnę dać na scenie opolskiej przegląd najcelniejszych pozycji klasycznego i współczesnego teatru polskiego i zagranicznego — i pod tym kątem widzenia ustaliłem repertuar. Po „Zemście" pójdzie przeróbka sceniczna „Placówki" Prusa — następnie ciekawa sztuka radzieckiego pisarza Uspienskiego p. t. „Przyjaciele" (tytuł tymczasowy), oraz głośna sztuka, osnuta na tle działalności francuskiego Ruchu Oporu p. t. „Przyjaciel przyjdzie wieczorem". Poza tym „Wesele Fonsia", „Mazepa" Słowackiego i doskonała współczesna komedia radziecka p. t. „Tu mówi Tajmyr". Oto kościec repertuarowy, który w czasie sezonu zostanie rozszerzony i urozmaicony występami znanych aktorów i reżyserów polskich.

— *Czy Teatr Opolski będzie kontynuował rozpoczętą w ubiegłych sezonach akcję objazdową Opolszczyzny?* — pytam w dalszym ciągu.

— Ależ oczywiście odpowiada. Projektuję trzy wieczory teatralne w tygodniu na scenie opolskiej (piątki, soboty i niedziele każdego tygodnia). A dalsze cztery dni zarezerwowane są na wyjazdy i wizyty w świetlicach i klubach robotniczych. Staram się tylko — dodaje po chwili dyr. Zarzycki — o odpowiednie uzupełnienie szczupłego taboru samochodowego, który pozwoliłby nam na wszelkie wyjazdy bez jakichkolwiek przeszkód i przerw... komunikacyjnych.

— *Czy teatr otrzymał dostateczną subwencję państwową?* — zadaję następne pytanie.

— Owszem. Zagwarantowano nam 3 miliony złotych stałej dotacji miesięcznej, co stanowi prawie 50 procentową podwyżkę w stosunku do kwoty dotychczasowej.

— *Czy w związku z tym przewiduje Teatr Opolski rozszerzenie dotychczasowej pracy artystycznej?*

— Tak jest! Przede wszystkim dzięki zwiększonej dotacji państwowej mogłem zaangażować dwukrotnie liczniejszy zespół aktorski, niż w ubiegłym sezonie. Dzięki temu teatr będzie mógł pracować w dwóch — że to tak określę — równorzędnych brygadach artystycznych. Umożliwi to nam częstsze premiery i częstsze wyjazdy w teren. Jednocześnie zamierzam specjalną opieką artystyczną otoczyć opolskie świetlice i opolskie zespoły świetlicowe — i pracy tej poświęcimy równie wiele czasu i starań, co pracy na scenie. Zorganizujemy wespół z Okręgową i Powiatową Radą Związków Zawodowych poradnię dla kierowników zespołów świetlicowych, poradnię zaopatrzoną obficie w potrzebne materiały repertuarowe. Jednocześnie prowadzić będziemy wypożyczalnię kostiumów i rekwizytów. Ponadto poszczególni aktorzy desygnowani zostaną na stałych opiekunów artystycznych większych świetlic fabrycznych i wiejskich. Wreszcie aktorzy, którzy chwilowo wolni będą od pracy scenicznej utworzą specjalną brygadę recytacyjną — i brygada ta odwiedzać będzie stale poszczególne zakłady pracy, organizując odpowiednio zestawione poranki, czy wieczory artystyczne. Tak intensywna praca możliwa będzie dzięki odpowiednio zorganizowanej akcji p l a n o w a n i a artystycznego w teatrze. Tak jest — powtarza dyr. Zarzycki. Będziemy planować i to nie tylko jeśli chodzi o repertuar i wyjazdy, jak to dotąd bywało — ale planować będziemy pracę każdego aktora i każdego pracownika technicznego. Zerwiemy przede wszystkim z utartym zwyczajem, że aktor, niezatrudniony w danej sztuce, błąka się bez zajęcia i bez celu. Każdemu zaplanujemy pracę. Kto ma przerwę w występach scenicznych, pracować będzie dla świetlic i wraz ze świetlicami. Aktorom pomogą specjalnie przeze mnie zaangażowani instruktorzy świetlicowi. W ten sposób każdy dzień wyzyskany będzie dla celowej pracy nad rozwojem życia kulturalno-artystycznego najszerszych mas robotniczych i chłopskich Opolszczyzny — kończy swe wywody dyr. Zarzycki.

*Władysław Lubecki.*

J. W. GOETHE

## *Wiosna*

**Doby ucieszeń**
**wracacie już?**
**Na górach, w lesie**
**słoneczny kurz.**

**Hojniej się potok**
**leje ze skał.**
**Jestże to łąka?**
**Ten życia war?**

**Barwy skrzydlate**
**fruną, nie ptak.**
**I tyle głosów,**
**i śpiewnie tak!**

**We dzwonie śpiewu**
**motyli tłok**
**i pszczoły huczą,**
**łase na sok.**

**Ruchem pieściwym**
**powietrze drży,**
**zuchwalej płyną**
**zapachów mgły.**

**Walniejszy skoczył**
**znienacka wiatr,**
**lecz wnet się schował,**
**w młodniku siadł.**

**Aż oto wraca**
**w człowieczą pierś.**
**Pomóżcie, Muzy,**
**to szczęście nieść!**

**Mówcie, jak taki**
**dzieje się cud:**
**najmilsza ze mną**
**idzie przez ług.**

Z niemieckiego spolszczył
TADEUSZ BOCHEŃSKI

# Muzyczność poezji

## O muzycznych zainteresowaniach Mickiewicza - część VIII

Słusznie zauważył niedawno prof. J. W. Reiss, iż „temat o muzyczności Mickiewicza jest tak bogaty i wielostronny, że należytego i wyczerpującego opracowania go mógłby się podjąć tylko ktoś, łączący w sobie i talent literacki i krytyczny oraz głęboką znajomość muzyki i piękna. A jakże trudno o zespolenie w jednej osobie dwóch tak różnorodnych zdolności"[1].

Niestety, dotychczas nie znalazł się nikt, kto by posiadł wymagane zdolności i podjął się opracowania przedmiotowego zagadnienia, chociaż czyniono wiele prób w tym kierunku. Zanim to nastąpi, warto zebrać głosy historyków literatury, krytyków literackich i muzykologów, dotyczące „muzyczności" Mickiewicza, by ułatwić przyszłemu badaczowi sprostanie trudnemu zadaniu.

Faktem jest, że Mickiewicz tworzył w ścisłej łączności z muzyką, gdyż „poezja jego wyrastała niejednokrotnie z ducha muzyki"[2].

Gdy samemu poecie stawiano niejednokrotnie pytanie, skąd bierze się niezwykła muzyczność jego poezji, skąd pochodzi jego wrażliwość na świat dźwięków, tylekrotnie wyrażana przez poetę w jego utworach — Mickiewicz stale i bez namysłu miał odpowiadać: „z melodyjności i rytmiczności mowy polskiej"[3]. W swojej wielkiej skromności nie wspomniał poeta o najważniejszym, o talencie muzycznym, z którym przyszedł na świat.

Twórczość poetycka Mickiewicza w wielu wypadkach jest wprost przepojona „muzycznością". Pełno jej nawet w mniejszych utworach poety. I tak: „Lilie" mają rytm taneczny, „Czyn" (na nutę pieśni Berangera: Jeunes enfants), jest „muzycznie taneczną groteską na temat Rosji carskiej"[4], „Czaty" zaś „komponowane są „muzycznie" dźwiękowo, tak jak komponował swe utwory Puszkin", „Farys" „jest [illegible] utworem muzycznym", [illegible] muzycznością odznacza się „Ucieczka", „Pieśń żołnierza" jest [illegible] pieśnią żołnierską o ludowym zacięciu i ludowym piętnie językowym", a „Pieśń pielgrzyma" jest „dostosowana do piosenkowej melodii już poprzednio, [illegible] — tułacza. Przypomina ona [illegible] popularną niegdyś, sentymentalną pieśń [illegible]: „Te bróz kilka, ten blask wody" [illegible] sentymentalizmu [illegible] — wtóruje jej słowami: „Te rozkwitłe świeżo drzewa [illegible] słodką wonią"[5].

W „Sonetach krymskich" odczuwa się „melodię wiersza opartego na piękności nazw Krymu, na wtórowaniu słowikom przez „Salgiru dziewice" — i na muzyce, którą grało poecie imię ukochanej Litwy.

*Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,*
*Niż słowiki Bajdaru, Salhiru dziewice.*

Ale o melodię idzie, stwarza ją w „Sonetach krymskich" nadzwyczajnie zastosowanie intonacji urozmaiconej", którą poeta wprowadza również w sonetach miłosnych, tylko w mniejszym stopniu.[6]

Przy omawianiu „muzyczności" utworów Mickiewicza należy zwrócić szczególną uwagę na „Dziady".

Dnia 18. 6. 1821 r. odbyła się w Berlinie premiera opery Webera — „Wolny Strzelec". W tym samym roku ogłaszał Mickiewicz w Wilnie i pod jej wpływem powstała końcowa scena I cz. „Dziadów" z pieśnią myśliwską Gustawa (Czarnym Myśliwym). W „Pieśni Strzelca" (Śród wzgórów i jarów) dał Mickiewicz piękną parafrazę chóru myśliwych Webera. Cechy muzyczno-rytmiczne tej części utworu Mickiewicza czyniły ją idealnie zgodną z oryginałem. W czasie pobytu poety w Odessie pod wrażeniem ponownego oglądania opery Webera powstała nowa redakcja „Pieśni Strzelca" (strofy o świetnie dobranych rymach męskich).

W [illegible] „Dziadów" kowieńsko-wileńskich złożyły się m. in. różnorodne motywy muzyczne. [illegible]

Wreszcie motywy muzyczne naszych romantyków popychały ich do bliższego zajęcia się operą. Już epoka przedmickiewiczowska poświęcała wiele uwagi roli śpiewu i muzyki w teatrze. Sam Mickiewicz — jak wiadomo — przetłumaczył z Sulzera rozdział o operze. Nie obce mu były również wywody Elsnera i Królikowskiego, dotyczące kwestii śpiewności i rytmiczności języka polskiego w zastosowaniu poezji do muzyki. Ostatnio doc. Dr. Kubacki udowodnił, że Mickiewicz znał też Ranieri'ego Calzabigi'ego wstęp do dzieł Metastasia (Paryż 1755 i Turyn 1757), [illegible] tekstów operowych, [illegible]

Calzabigi, w poszukiwaniu nowych form dramatycznych, dążył do stworzenia dramatu muzycznego, [illegible] romantyków.

Kiedy już mowa o lekturach Mickiewicza z zakresu muzyki, to jakoś tak dziwnie złożyło się, że dotychczas żaden z muzykologów ani historyków literatury nie zainteresował się bliżej tym, że w latach 1802—1825 profesorem muzyki w Wilnie był Jan Dawid Holland, Niemiec, [illegible] u Radziwiłłów. Skomponował on muzykę do opery Bogusławskiego „Agatka", pisał polonezy i wydał pierwsze w języku polskim dzieło z teorii muzyki: „Traktat akademicki o prawdziwej sztuce muzyki, [illegible]" wyd. w 1806 r. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Mickiewicz znał to dzieło Hollanda, podobnie jak książkę Sulzera i Heinse'go: „Musikalische dialogen...", wyd. w r. 1805. Nie jest wykluczonym, że Mickiewicz w czasie studiów uniwersyteckich w Wilnie uczęszczał na wykłady muzyczne prof. Hollanda. Sprawa ta wymaga jednak dokładnych badań źródłowych i archiwalnych.

Prof. Kleiner, omawiając „Dziadów" cz. II, uznaje, że Mickiewicz zrozumiał, iż „obrzęd religijny, ogarniający rytmem jednolitym gromadę ludzką i wyzwalający emocje [illegible] melodią śpiewu chóralnego, zawiera niby surowiec opery — i w myśl tego uzyskuje urozmaicenie. W przeważnej części jest to niby opera pierwotna, o jednolitym toku ciągłości muzycznej, który rozczłonkowanie zaznaczają tylko refreny; po Wagnerze powiedziałoby się: ciągły dramat muzyczny o nieprzerwanym toku melodii, o architektonice wyraźnej, ukształtowanej przez motywy przewodnie. Ale gdy zjawi się postać pasterki, stworzonej do arii lekkich salonowego przedstawienia scenicznego, [illegible] arią z recitativo przenosi surowy obrzęd z cerkwi wiejskiej na deski teatralne. Koncepcja operowa sprawiła, że wierszem utworu stał się nie trzynastozgłoskowiec dramatu, lecz



Harmonika (ze zbiorów Towarzystwa Muzycznego w Warszawie)

wiersz wkładek śpiewanych, piosenek, — ośmiozgłoskowiec, niemniej popularny w pieśniach ludu. [illegible] Rymy, jak w „Grażynie", łączą się w sposób rozmaity i wnoszą tym pełno ruchu. Muzyczność [illegible] stałą powtarzania — czy to podejmowania strofy całej przez chór, czy powrót wierszy i rymów, czy paralelizm powiedzeń [illegible] pewnego słowa. Środki muzyczne i malarskie pozwoliły (Mickiewiczowi) stworzyć pierwszy w Polsce dramat romantyczny"[7].

E. Land zajął się Sulzerem, że II cz. „Dziadów" jest rodzajem kantaty. (Sulzer a II cz. „Dziadów", Przegl. Hum. 1925 r.)

Prof. J. W. Reiss uważa, że utwór ten „jest w swym założeniu i w swojej istocie koncepcji operowej, czy jakby dramatycznym misterium z muzyką". (Życie Śpiewacze" nr 1/2 br.)

Prof. K. Górski pisze, że „powstawanie się niektórych urywków, jak również [illegible] przez samego poetę pewnych ustępów mianem duetu, arii i recitativa, nasuwa myśl, że tekst II części „Dziadów" jest jakimś librettem do utworu muzycznego. Zgodnie z teoriami dobrze znanego Mickiewiczowi niemieckiego estetyka Sulzera, można by określić II część „Dziadów" jako oratorium, czyli poetycko-muzyczny utwór religijny. (Literatura polska cz. I 1938, s. 304).

S. Ilowski we wstępie do „Dziadów" (w 1949) opracowanych na scenę jako ludowe misterium zaznacza: [illegible]

Jeśli chodzi o „Dziadów" cz. IV, to badacze twórczości Mickiewicza [illegible] kryteriów gatunku tego utworu. Dopiero dr S. Zetowski udowodnił, że IV cz. „Dziadów" jest monodramatem. [illegible] „Muzyka" nr 6—7 z 1934 r. s. 266). [illegible] „Dziadów" cz. I, II i IV, muzyka znalazła swe odbicie w III ich części: [illegible] opery „Don Juan" i „Wesele Figara" [illegible]

[illegible] poety wspominała, iż ojciec jej lubił bardzo słuchać śpiewu tego chóru i że sam układał do [illegible] na nutę Haydna do angielskiego hymnu narodowego.

Wskazówka inscenizacyjna poety w scenie balu: „W głębi drzwi do pokojów Senatora, gdzie słychać muzykę". W tok rozmowy Senatora z p. Rollisonową wplata Mickiewicz dalszą wskazówkę inscenizacyjną: „otwierają się drzwi od sali — słychać muzykę, — widać [illegible] panna ubrana jak na bal". Panna mówi po francusku: „Panie Senatorze, — oh! przerywam Panu, mają śpiewać chór z „Don Juana", a potem koncert Herza" (Henryka, sławnego pianisty i kompozytora austriackiego, żyjącego w latach 1803—1888). Dalej „otwierają się drzwi z lewej strony, wchodzą wszyscy dam wystrojonych, urzędników, gości — za nimi muzyka". Na marginesie tej uwagi poety trafnie dodaje prof. Kleiner: „scena [illegible] chórowa, widowiskowa, operowa". W chwili goście „stają i szykują się do tańca". Dalej następuje opis balu („scena śpiewana"). Uwaga poety dla reżysera brzmi: „Muzyka gra menueta z „Don Juana..." „Na środku menuet. Senator tańczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z księżną".

W czasie balu Bajkow „śpiewa pieśni Berangera", tj. urywek z satyrycznego utworu tego poety „Le Senateur", [illegible] Senatora. W scenie tej mamy nowy dowód zajęcia się Mickiewicza pieśnią Jana de Berangera. Poeta zwrócił na nią uwagę pierwszy raz w „Czynie". Pod koniec sceny balowej, po proroczym słowie ks. Piotra, [illegible] „Nagle muzyka się zmienia i gra arię Komandora". [illegible]

„Na kontradicie „Don Juana", zabawy zakłóconej przez interwencję niebios — pisze doc. W. Kubacki — uzorował poeta scenę balu u Senatora. Opera dostarczyła mu nie tylko schematu kompozycyjnego, ale także nastroju grozy, nadciągającej katastrofy. [illegible]

Rola Komandora nie ogranicza się tylko do nastroju. Na balu zjawia się sobowtór Komandora w osobie ks. Piotra, który doktorowi i Bajkowowi przepowiada śmierć... Przypomina to przestrogę, daną przez posąg, Komandora na cmentarzu Juanowi (scena XII), potem na uczcie (scena XVIII). „Por. Kubacki — Echa Mozarta w III cz. „Dziadów", „Odrodzenie" 1946.

Jeżeli chodzi o zestawienie pieśni Konrada ze sceną balową, to w pierwszej z nich „była harmonia rytmiczna wiersza z muzyką", w drugiej zaś (scena VIII) „harmonijny zespół trzech elementów: wiersza, muzyki i tańca (mimiki)".[8]

W życiu Konrada, prócz muzyki, ważną rolę odgrywa również pieśń. „Pieśń Bożego Narodzenia" ocala go w chwili, gdy z pobliskiego kościoła dają się słyszeć jej słowa wraz z melodią. Poetycką wizję dalszego ciągu tej sceny, mamy przedstawioną w doskonałej monografii prof. J. Kleinera o Mickiewiczu (t. II, cz. I). „Nad ks. Piotrem chór anielski głosami dziecinnymi wieści dokonane dzieła — „Sługo, sługo pokorny, cichy, Wniosłeś pokój w dom pychy" — i przygotowuje wynik kojący sądu ziemskiego... Akcja rozgrywa się na wyżynach, którym sprosta tylko słowo śpiewane, z muzyką chórów anielskich spokrewnione. Pieśniową kompozycją finalną w oratorium kościelne przemienia ono koniec dramatu duchowego. Kompozycja ta wyodrębnia dwa rodzaje głosów, dwa rodzaje intonacji i rytmiki, i kunszt architektoniki regularnej słowa o wielkiej wadze oprawia w ramy piosenkowej, kolędowej, prymitywowi bliskiej prostoty. — Dziecinne głosy aniołów na nutę kolędy „Anioł pasterzom mówił" śpiewają zwrotki pięciowierszowe o dwu rymach, ... zdania nieskomplikowane, często w wyrazie jak najprostsze (My tak ludzi kochamy, Tak z nimi być żądamy) nadają charakter kościelno-ludowy śpiewowi, który treść ideową wplata w zespolenie kolędy o pastuszkach z ewangelicznym głoszeniem pokoju ludziom dobrej woli... Między te strofy trzykrotnie wpada niskimi, dostojnymi tonami śpiewana mowa archanielska na nutę pieśni „Bóg nam ucieczką". Nutę podaje wyraźnie objaśnienie sceniczne... [illegible]

Zaiste, jak wielkie bogactwo tej „muzyczności" kryje w sobie poezja Mickiewicza, o jak mało wiemy o tym, gdy przy czytaniu utworów naszego poety.

*Franciszek German*

1) Dr J. W. Reiss — „Życie Śpiewacze" nr 1—2 z roku 1949.
2) Doc. J. Lissa — A. Mickiewicz a muzyka — J. W.
3) [illegible] J. Kleiner — Mickiewicz t. I, t. II cz. I.
4) [illegible]
5) [illegible]
6) [illegible]
7) [illegible]
8) [illegible] „Echa Mozarta w III cz. „Dziadów".

# Pogrzeb nadziei i zmartwychwstanie

(Dokończenie ze strony 1)

nie dziwmy się, że w klubach düsseldorfskich, gdzie zbierały się grube ryby kapitalizmu niemieckiego, najgłośniej im przyklaskiwano i heilowano.

Ale nie sądźmy, że tak działo się tylko w klubach niemieckich. Po cichu, chytrze uczestniczyli w tej radości, zwłaszcza gdy armie hitlerowskie zbliżały się pod Moskwę, także monopoliści kapitalistyczni w Nowym Jorku i Londynie. Ci na jednym ogniu piekli dwie pieczenie. Jakie pieczenie, o tym bez niedomówień powie nam tablica strat z ostatniej wojny:

| Kraj | Straty (w miln.) | Zaludn. w 1935 (w miln.) |
|---|---|---|
| ZSRR | 13,5 | 162 |
| Polska | 5,6 | 32 |
| Jugosławia | 1,7 | 14 |
| Czechosłowacja | 0,5 | 14,7 |
| Francja | 0,75 | 41 |
| Anglia | 0,57 | 45 |
| St. Zjednoczone | 1,04 | 137 |
| Niemcy | 9,5 | 66 |

**Bilans strat i zysków jest zatem następujący:**

1. Kraje socjalizmu: Związek Radziecki — straty w ludziach olbrzymie, zniszczenia olbrzymie. Obok tego Polska, jako przypadkowa ofiara, z olbrzymimi stratami w ludziach i w majątku narodowym.

2. Niemcy — ogromne straty w ludziach i w majątku narodowym. To jest ta druga pieczeń: kapitalistyczne zamówienie Niemcy niszczą Związek Radziecki, ale same się przy tym wykrwawiają, osłabiają jako partner na wielkim rynku świata kapitalistycznego. Skądinąd dowiedzielibyśmy się, że za to zapłacił nie tyle kapitał niemiecki, ile raczej uwiedziony lud niemiecki.

3. Anglia — małe straty w ludziach, niewielkie w majątku narodowym, wielkie w dotychczasowej pozycji jako mocarstwa.

4. Stany Zjednoczone — stosunkowo małe straty w ludziach, olbrzymie zyski gospodarcze, jeszcze większe polityczne: stają się pierwszym mocarstwem kapitalistycznym na świecie.

Z komentarzy i wniosków rezygnuję. Niech je sobie czytelnik sam wysnuje z powyższych cyfr.

## Grzechy śmiertelne polskiego dwudziestolecia

Polska wpadła w katastrofę wojenną nieświadoma tego, co w wielkiej polityce światowej od początku dwudziestego wieku się działo, a po pierwszej wojnie światowej zaczęło objawiać się w akcji. Nie rozumiała przez całe dwadzieścia lat istoty dwudziestego wieku i swojej w tym wszystkim pozycji. Dlatego mogła śnić o „nie oddaniu ani jednego guzika", o samodzielnym wmaszerowaniu po walce sam na sam z Niemcami do Berlina. Dlatego tak była zdziwiona szybką i całkowitą klęską. Postawy Polski we wrześniu 1939 nie można niestety inaczej określić jak: naiwność, całkowity brak poczucia rzeczywistości i proporcji sił, absolutna nieznajomość wroga i jeszcze większa nieznajomość „sojuszników" — przyjaciół, motywów ich działania. Lecz krok Polski był jednak dojrzałym owocem, konsekwentnym następstwem wszystkich zasadniczych błędów całej polskiej polityki w dobie dwudziestolecia. Te błędy zaś płynęły z prostego faktu, że nie potrafiliśmy sobie powiedzieć i wyciągnąć z tego wniosków, iż jesteśmy narodem małym, zacofanym i biednym, że jesteśmy w rodzinie narodów ubogim krewnym-proletariuszem.

Dlatego w *polityce wewnętrznej:*

nawróciliśmy do najgorszego okresu dziejów narodu polskiego, wróciliśmy do tych zasad życia, które były właściwe epoce saskiej, wróciliśmy do starej zgnilizny:

nie rozumieliśmy, że naród nasz upadł, bo był głęboko, u samych fundamentów chory i że w związku z tym potrzebuje śmiałego zabiegu chirurgicznego, gruntownej rewolucji życia na modłę rosyjskiej listopadowej;

nie rozumieliśmy, że Polska nie może istnieć, nie wprowadziwszy u siebie najnowocześniejszej sztuki państwowej, nie oswobodziwszy się od kapitalistów i obszarników, od eksploatacji ze strony obcego kapitału, bez wyzwolenia energii ludu, uśpionej i śpiącej od wieków;

nie rozumieliśmy, że tylko w pracy, w nowocześnie zorganizowanej pracy tkwi klucz do dobrobytu i podniesienia poziomu życia polskiego;

sfery rządzące, burżuazyjno-szlacheckie były zbyt niedołężne, by temu podołać i nie mogły zrobić tego co oznaczałoby ich samounicestwienie, zaś lud był za słaby, by z nimi skończyć i samemu na swoje barki wziąć odpowiedzialność za wszystko. Polska potrzebowała nie nowych *władz* rządzących, lecz nowych *warstw* rządzących.

W ten sposób w okresie dwudziestu lat — czego ani COP ani Gdynia nie rehabilitują, Polska przedstawiała obraz systematycznego rozkładu, dalszego upadku narodu i tylko wrodzone nam samodurstwo nie pozwalało nam tego widzieć. Dla tych, którzy to widzieli, stworzono Berezy.

W *polityce zagranicznej* biliśmy rekordy głupstw i błędów.

1. Zapomnieliśmy, że Niemcy są naszym odwiecznym, śmiertelnym wrogiem, że z takim wrogiem nie wolno — jak owce z wilkiem — paktować sam na sam, że są od nas silniejsi, liczniejsi i lepiej zorganizowani. Nie chcieliśmy widzieć, że cały impet hitlerowskiej potęgi skierowany jest na wschód, na nas, że sami tego impetu nie wstrzymamy, że ze strony hitleryzmu grozi nam zupełna zagłada.

2. Nie chcieliśmy widzieć, że Anglia et kapitalistyczni consortes pragną tylko, by walec niemiecki potoczył się na wschód, przeciwko socjalizmowi, że szukają oni nowych naiwniaków, nowe mięso armatnie, nowych „Pruegelknaben". Nie znaliśmy i nie chcieliśmy znać sławnej perfidii politycznej „zachodu", pokładając w nim wszystkie nadzieje. Zawierzyliśmy mu i — otrzymaliśmy swoje: posłuchajcie tylko od czasu do czasu uwag Churchilla na nasz temat.

3. Wreszcie błąd nad błędami: Nie chcieliśmy zrozumieć, że Związek Radziecki jako największy naród słowiański, przeciw któremu Hitler zbierał siły, jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem. Nie chcieliśmy widzieć zmian, jakie wprowadziła w życie ludów Rosji rewolucja listopadowa. Nie chcieliśmy wiedzieć, że to nie jest stara imperialistyczna, carska Rosja, lecz nowy bojownik o wolność ludów i ludzi, że jego droga powinna być naszą drogą.

Szukaliśmy przyjaciół gdzieś daleko po świecie, a nie chcieli ich widzieć w najbliższym sąsiedztwie, licznym, potężnym, z którym w dodatku łączyły nas wszystkie interesy, decydujące wszakże w polityce.

Wojna sprawdziła popełnione w tej dziedzinie błędy.

Sojusznicy zachodni zabrali nam naszych najdzielniejszych braci, którzy poginęli w obronie Anglii nad Kanałem, w Tobruku, pod Monte Cassino itd., zabrali nam złoto i wiele innych skarbów wywiezionych tam przez rząd sanacyjny. Polacy szukający u nich oparcia w tej wojnie, praktycznie bardzo mało dali krajowi realnych korzyści. Największym rachunkiem, jaki naród musiał zapłacić za zbrodnicze błędy rządu emigracyjnego, jest zniszczenie Warszawy w sierpniowym powstaniu.

Tymczasem w Związku Radzieckim powstała nowa polska armia, która w *naszym* interesie, *w naszej obronie,* dla wyzwolenia *naszego kraju* walczyła przy boku armii radzieckich. Tam powstała nowa, odrodzona myśl polityczna, zrywająca rewolucyjnie z dotychczasowymi błędami polskiego życia narodowego, naprawiająca je. Stamtąd przyszła konkretna pomoc i nowa nadzieja. Na niej opieramy dzisiejsze życie Polski.

## Nasze dziś

Dziś w Polsce rządzi i decyduje lud. Uczy się coraz lepiej pracować i coraz lepiej rządzić. Odbudowa Warszawy i całego kraju jest najlepszym dowodem na to, że lud to lepszy gospodarz kraju niż dawniejsi kapitaliści. Nasza przyszłość wewnętrzna, dobrobyt i piękno naszej ojczyzny zależy już tylko od pracy naszych rąk i mózgów.

Zagraniczna polityka Polski wyzbyła się ułańsko - tromtadrackiej pyszałkowatości, jest na wskroś realna. Opiera się na przyjaźni z narodami, z którymi wszystko ją łączy a nic nie dzieli. Łączy przede wszystkim wola zorganizowania życia na lepszych, socjalistycznych zasadach. Umowa o przyjaźni i pomocy wzajemnej z ZSRR i krajami demokracji ludowych otoczyła Polskę wałem obronnym. Polska nie jest już, jak przed dziesięciu laty, osamotniona praktycznie. Maszeruje z nią dziś razem blisko 300 milionów ludzi!

Wrzesień 1939 był wrześniem klęski, był pogrzebem nadziei. Wrzesień 1949 jest wrześniem optymizmu, wiary, pracy, wielkiej odnowy polskiego życia.

*Eryk Skowron.*

# Wrocławskie notatki teatralne

● Od ostatniego mojego sprawozdania teatralnego z Wrocławia minęło sporo czasu. Okres ten — działalności dyr. Henryka Szletyńskiego jako pełnomocnika Ministerstwa Kultury i Sztuki dla spraw Państwowego Teatru Dolnośląskiego — można by traktować jako osobny sezon teatralny, gdyby nie istniał cały splot zagadnień dotyczących zespołu aktorskiego, reżyserskiego oraz pozycji repertuarowych związanych z poprzednią dyrekcją.

● **Zacznijmy od repertuaru: z pięciu sztuk wystawionych w omawianym okresie dwie, tzn. „Mazepa" Słowackiego i „Szalone pieniądze" Ostrowskiego zaplanowane były z początku sezonu 1948-49, trzy sztuki tj. „Odwety" Kruczkowskiego, „Romans z wodewilu" Krzemińskiego i Turskiego oraz „Wczoraj urodzony" Garsona Kanina weszły do repertuaru „poza planem", zamiast zapowiedzianych „Volpone" Ben Johnsona, „Igraszek z Diabłem" Drdy i „Świętoszka" Moliera.**

● „Szalone pieniądze" po raz pierwszy w Polsce ujrzały światło rampy we Wrocławiu.

Z bogatej twórczości wielkiego dramaturga rosyjskiego A. N. Ostrowskiego wystawiono dotychczas w Polsce zaledwie 6 sztuk. Czas najwyższy, ażeby odrobić zaległości i pokazać naszej publiczności te arcydzieła dramatopisarstwa. „Szalone pieniądze", które po wznowieniu w roku 1945 w młodym, ambitnym moskiewskim teatrze imienia Jermołowej, przeżywają na scenach radzieckich swój renesans, są ostrą satyrą na rozkład moralny i głupotę arystokracji rosyjskiej z końca XIX wieku

Dystyngowanej matce, dla której małżeństwo córki jest zwykłą transakcją, a ideałem męża — człowiek kradnący pieniądze państwowe dla zaspokojenia kaprysów rodziny, wyrachowanej pannie uważającej, że jedynym wstydem jest być biedną, całej grupie hochstaplerów i intrygantów przeciwstawia Ostrowski pozytywny typ człowieka, który przebija się przez życie własną pracą. Na tym się jednak Ostrowski w „Szalonych pieniądzach" zatrzymuje. Gromadzony przez pozytywnego bohatera kapitał obróci się niewątpliwie w „szalone pieniądze" w rękach nowopowstającej arystokracji kapitału.

● **I oto w komedii G. Kanina „Wczoraj urodzony" jesteśmy już na drugim krańcu wędrówki „szalonych pieniędzy". Harry Brock dorabia się milionów na handlu szmelcem. Bezlitośnie, nie przebierając w środkach utrąca swych konkurentów, terroryzuje otoczenie, przekupstwem stara się wpłynąć na wydanie wygodnych dla niego ustaw. W poprzek machinacjom Brocka staje młody, postępowy dziennikarz. Zawrotna kariera milionera rozbija się o rozbudzone przez dziennikarza człowieczeństwo młodej dziewczyny, kochanki Brocka (shawowska Liza z „Pygmaliona znalazła w Billie Dawn z „Wczoraj urodzonego" uświadomioną społecznie siostrę).**

● Odsłonięcie podświadomych motorów działania, oswobodzenie aktora od niewygody tekstu, sprowadzenie ruchu do jak największej naturalności było założeniem Łazarza Kobryńskiego przy reżyserowaniu „Szalonych Pieniędzy". Nie są to rzeczy nowe: zrodzone w teatrze Stanisławskiego stały się warunkiem nowoczesnego teatru. Kobryński jednak swobodę aktora posunął aż tak daleko, że wydobyły się spod postaci sztuki indywidualne, osobiste nawyki grających aktorów, a sytuacje rzeczywiście dające złudzenie naturalności, nie były dość „zafiksowane", tak, że w trakcie przedstawień zmieniały się dość nawet znacznie, co miałem sposobność stwierdzić będąc czterokrotnie na spektaklu w odstępach kilkudniowych. Wyśmienicie natomiast oddał Kobryński w swej realizacji ogólny ton sztuki, kształtując i rozkładając z dużym smakiem i wnikliwością napięcia emocjonalne.

● **„Odwety" Kruczkowskiego zobaczyliśmy we Wrocławiu w drugiej wersji. W pierwszej wersji, która po premierze w Warszawie, obiegła kilka scen polskich i zagranicznych, osobiste przeżycia ideowego działacza Juliana Jagmina wpływają na bezkarne zwolnienie przez niego przywódcy reakcyjnego podziemia, terorysty Okulicza.**

**Leon Kruczkowski zdając sobie sprawę z odpowiedzialności autora dramatycznego, którego słowa oddziaływują na kształtowanie się nowego człowieka, przychylając się do słusznego założenia krytyki, twierdzącej, że „prywatne zobowiązania jednostki nie mogą w imię jakiejś personalistycznej moralności uwolnić wroga zbiorowości, politycznego wroga narodu", odważnie podjął trud przeróbki zakończenia drugiego aktu i całego aktu trzeciego. W drugiej wersji Jagmin oddaje Okulicza w ręce sprawiedliwości. Niestety pobudki, jakie kierują czynem Jagmina są również natury osobistej, gdy się dowiedział, że jego syna Julka Okulicz chciał zmusić do samobójstwa.**



*„Odwety" Leona Kruczkowskiego w Państwowym Teatrze Dolnośląskim. Scena z aktu III-go.* Fot. Z. Mozer

**Osobiste motory działania występują tym jaskrawiej, że Jagmin zanim dowiedział się o zamachu Okulicza na życie Julka, miał zamiar z tych samych pobudek, co w pierwszej wersji puścić wolno terrorystę, za którego sprawą niezawodnie ginęliby nadal ideowi działacze Polski Ludowej.**

● Na premierze „Odwetów" święciła swój jubileusz czterdziestopięcioletniej pracy scenicznej Antonina Dunajewska. Uczennica Gabrieli Zapolskiej rozpoczęła swą karierę na scenie Teatru Krakowskiego. Do wybuchu pierwszej wojny światowej grywała kolejno w poznańskim Teatrze Polskim w Sosnowcu, w Lublinie i Bydgoszczy. W latach 1916—20 zapędzona przez wojnę do Kijowa, gra w tamtejszym Polskim Teatrze. W okresie międzywojennym osiada w Łodzi, gdzie cieszy się wielką popularnością wśród publiczności teatralnej. Po odrodzeniu Polski wstępuje do Żołnierskiego Teatru Dramatycznego II-giej Armii. W r. 1947 przenosi się na stałe do Wrocławia.

Doskonałymi postaciami matki w „Świętym płomieniu", babci w „Ładnej historii" i „Szesnastolatce" i Miss Baurnee w „Pociągu-widmie" podbiła Dunajewska serca widowni wrocławskiej.

Na jubileuszu zobaczyliśmy Dunajewską w roli Lemańskiej. Tryskała dowcipem, energią, — jakże gorąco prowadziła dialogi, ile życia wnosiła na scenę. Doprawdy nasi jubilaci znają jakieś tajemnicze eliksiry młodości. W dodatku w czasie uroczystości jubileuszowych „wylazło szydło z worka", że to nie 45 lat, ale 48 lat minęło od debiutu na scenie krakowskiej! „Patrzcie, patrzcie młodzi"! Kilka dni temu wśród odznaczonych orderem „Sztandar Pracy" znaleźliśmy nazwisko Antoniny Dunajewskiej. Zasłużyła sobie rzetelnie na ten zaszczyt wytrwałą pracą dla sztuki i piękną pracą społeczną.

„Odwety" i „Romans z wodewilu" zobaczyliśmy w realizacji młodej utalentowanej reżyserki Maryny Broniewskiej. „Odwety" zrobione były logicznie, konsekwentnie i bardzo „cienko" — może nawet zbyt kameralnie jak na dużą i nieakustyczną salę Teatru Popularnego, skutkiem czego wiele kwestii nie dochodziło do słuchaczy.

● **Teatr Popularny to trudny orzech do zgryzienia; nieforemne salisko z pogłosem i małą ciasną sceną bez odpowiednich urządzeń technicznych. Co tu grać w takim teatrze? Sztuki kameralne przepadają w ogromie sali, sztuki większego formatu nie mogą się zmieścić na skromnej scenie. Spróbowano grać wodewil — może najodpowiedniejszy rodzaj sztuki dla charakteru teatru, ale najmniej odpowiedni dla formatu sceny.**

**W „Romansie z wodewilu" scenograf Jerzy Szeski dokonywał karkołomnych sztuk, aby pomieścić dekoracje kilkunastu odsłon na małej scenie, nie uciekając się do zbyt długich antraktów. Skutek tych zabiegów był taki, że na przestrzeni, nie większej od stołu do bridża, 10 aktorów musiało grać, śpiewać, a nawet tańczyć — a publiczność truchlała, żeby któraś z postaci nie spadła ze stromych schodów wprost w objęcia orkiestry.**

● Wyrobiony smak i wyobraźnia plastyczna Maryny Broniewskiej wydobyła w „Romansie z wodewilu" na pierwszy plan ruch sceniczny. Każda z postaci miała swój charakterystyczny rysunek ruchu, tańce wypływały z akcji, naturalnie wiążąc się ze słowem w harmonijną całość. Uwalniając się z ciasnych przestrzeni wnętrz, wyprowadzała Broniewska korowód postaci w taneczny spacer na planty.

Gdy zamiast stereotypowego hałaśliwego finału — postacie „Romansu z wodewilu" oddalały się ginąc za murami Barbakanu i rozwiała się w mrok nastrojowa piosenka — zrobiło nam się żal, że skończyła się wesoła staro-krakowska historyjka i trochę przykro, że inne miasta mają swoje wodewile i piosenki, a Wrocław bez skutku czeka na swego Turskiego, Zbierzchowskiego, czy Dobrzańskiego. A tematów by chyba nie zabrakło.

● **Poważnym osiągnięciem P. T. D. była realizacja „Mazepy" w reżyserii Marii Leonii Jabłonkówny. Jabłonkówna odrzuciła tradycję czułostkowego sentymentalizmu w jaki dotychczas przybierano tę tragedię i pokazała nam Słowackiego oskarżającego samowolę, despotyzm, i źle pojęty honor (wojewoda), obłudę i rozpustę (król) i chory romantyzm (Zbigniew) klasy rządzącej Rzeczypospolitą chylącą się ku upadkowi. Zdarzały się drobne potknięcia reżyserskie, ale koncepcja była twórcza i ciekawa.**

● W stworzeniu klimatu realizacji „Mazepy" współdziałała z koncepją reżyserki — koncepcja scenograficzna (A. Jędrzejewski, W. Lange), zamykająca przestrzeń sceniczną ramą surowych baszt zamkowych, przytłaczających szarością, odgradzająca życie bohaterów dramatu w ciasnym kręgu własnych tragedii, bez widoków na wyrwanie się z węzłów osobistego dramatu, odciętych od spraw ogołu.

● **Dyrekcja P. T. D. odważnie ogłosiła w jednym z programów wykaz frekwencji publiczności w teatrach wrocławskich w r. 1949 (za okres objęty nin. sprawozdaniem). Cyfry te nie dają powodu do radości: największe przeciętne miesięczne zapełnienie widowni Wielkiego Teatru zaledwie przekracza 30 proc. — Teatru Popularnego 60 proc. — przy czym w lutym nie sięga 46 proc.!**

● Jak się dowiadujemy zespół P. T. D. ulegnie gruntownej zmianie. Większość aktorów, których dotychczas widywaliśmy na wrocławskich scenach opuszcza Państwowy Teatr Dolnośląski. Między innymi odchodzą wybitni aktorzy jak Zdzisław Karczewski, Mieczysław Serwiński, Wacław Zdanowicz, oraz duża grupa młodych zdolnych aktorów, którzy już zdolali sobie wyrobić sympatię i popularność wśród publiczności wrocławskiej. Niewątpliwie Dyrekcja postara się zapełnić powstałą lukę innymi wartościowymi siłami — niemniej oznacza to budowanie na nowo, od podstaw naszego teatru.

● **Również i w „Teatrze Młodego Widza" zaszły duże zmiany. Kierownictwo artystyczne objął znakomity reżyser i aktor Wiktor Biegański. Dyr. Biegański w ubiegłym sezonie prowadził z dużym sukcesem artystycznym objazdowy Teatr Świdnicki, który nie mało przyczynił się do upowszechnienia kultury teatralnej w miastach południowej części Dolnego Śląska, a ostatnio występował gościnnie z wielkim powodzeniem w Czechosłowacji.**

**WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.**

## KOPALNIA

*Zawieszone wysoko w powietrzu*
*dwa koła biegną na spotkanie,*
*które nastąpi w nieskończoności.*
*Krosna wirujących szprych*
*tkają z pokrętnych smug dymu*
*wzorzystą płachtę zwisającą z gwiazd.*
*Szerokim łukiem padają*
*zwilgotniałe niedopałki*
*rozkwitając na bruku*
*zwidem dalekich kwiatów.*
*Jękliwe skrzypienie zawiasów*
*w niczym nie przypomina*
*śpiewu ptaków,*
*nawet dla tych, którzy*
*oddawna tego śpiewu nie słyszeli.*
*Bo ptaki nie śpiewają pod ziemią,*
*ani pod siatką nocnego mroku.*
*Twardy kant hełmu*
*uwiera skronie,*
*ale jego ciężar nie jest brzemieniem*
*zdolnym przygiąć barki ku ziemi.*
*Ażurowe wiązanie siatki*
*staje się nieprzeniknione,*
*gdy odcina człowieka od słońca.*
*Mrok niknie, rozproszony*
*płomieniem, gorejącym w piersi,*
*martwota stali nabiera życia*
*rozżarzona kroplami ludzkiego potu.*
*Echo spotkania czarnych brył*
*z jasnością dziennego światła*
*płynie odśrodkowym pasmem fal*
*wprawiając w radosne drżenie*
*bratnie ręce towarzysza,*
*składające kolumnę trudu.*

*TADEUSZ KOSTECKI*

# Wśród CZASOPISM

## Miesięcznik „Literatura Radziecka"

Związek Radziecki wydaje od lat miesięczniki literackie poświęcone literaturze narodów radzieckich a redagowane w kilku językach europejskich, m. in. angielskim, francuskim, niemieckim. Widywaliśmy te miesięczniki w naszych księgarniach i nie raz przychodziła myśl, że przydałby się taki sam miesięcznik w literaturze polskiej. Odczuwaliśmy zwłaszcza potrzebę bliższego zapoznania się z teoretyczną problematyką literatury radzieckiej, która przez działa swych największych pisarzy staje się wzorem dla przechodzących okres głębokich przemian literatur narodów demokracji ludowej.

Obecnie poprzedzony dawną już dosyć zapowiedzią ukazał się pierwszy zeszyt czasopisma „Literatura Radziecka". Jest to miesięcznik wydawany w Moskwie przez Wydawnictwo „Sowietskij Pisatiel". Jako redaktor naczelny podpisuje go I. Anisimow, komitet redakcyjny stanowią pozatem F. Kellin, W. Nikołajew i D. Obłomijewski. Zeszyt ma format książkowy i zawiera blisko 200 stron druku. Charakteryzuje go staranna szata graficzna, przede wszystkim piękny papier i ładny krój czcionki. Treść literacką uzupełniają trzy reprodukcje dzieł współczesnych plastyków radzieckich, w tym jedna wielobarwna.

Tyle zewnętrznej charakterystyki nowego i tak potrzebnego pisma.

Treść pierwszego zeszytu ujęta jest w cztery rozdziały. Na wstępie w artykule redakcyjnym „Literatura Radziecka" przynosi omówienie nagród stalinowskich w dziedzinie sztuki i kultury za rok 1948 („Święto kultury radzieckiej"). Artykuł ten daje krótką charakterystykę nagrodzonych dzieł i prac. Nazwisk i tytułów jest naturalnie dużo, bo jak na wstępie artykułu czytamy, w samej tylko literaturze przyznano nagrody stalinowskie dwom prozaikom, jedenastu poetom, sześciu dramaturgom i czterem autorom scenariuszy filmowych. Na marginesie tego artykułu zaznaczyć trzeba, że niektóre z nagrodzonych dzieł ukazały się już w przekładach polskich (np. „Wiosna w Sakenie" G. Gulli). Dalszy ciąg zeszytu stanowi przekład nagrodzonej powieści pisarza estońskiego H. Leberchta „Światło w Koordi".

Przy powieści tej warto się nieco zatrzymać. Zajmuje ona prawie połowę zeszytu, więc rozmiarami jest utworem niewielkim, ale nasyconym treścią społeczną. Autor kreśli w niej zwięźle, miejscami nawet szkicowo dzieje przemian, które zaszły po wojnie we wsi estońskiej w składzie państwa radzieckiego. Dzieje te rozwijają się od akcji usuwania chłopów przez podział majątków i wielkich gospodarstw do zbiorowego wysiłku całej wsi popartej przez robotników z sąsiedniego miasta na odbudowę kołchozu. Tym przemianom ekonomicznym i społecznym towarzyszą przemiany psychiczne i odwrócenie kilkunastu postaci, które autor skąpymi rysami maluje trafnie, umiejętnie wydobywając ich typowość. Jeśli mówiliśmy o aktualności tej powieści, to dlatego tylko, że indywidualne życie postaci powieści w zestawieniu z jej wątkiem głównym, społecznym, wydaje się dość ubogie i jakby celowo przez autora sprowadzone do roli faktów najniezbędniejszych. Przez harmonijne rozbudowanie tej strony powieści, całość zyskałaby niewątpliwie wiele. Osobna sprawa to fakt, że ta niewątpliwie doskonała, prawdziwie realistyczna i socjalistyczna powieść wyszła spod pióra pisarza będącego przedstawicielem jednego z najmłodszych narodów radzieckich. Świadczy ona dobrze o możliwościach rozwojowych nowej literatury estońskiej.

W części drugiej zeszytu czytamy krótką, niezwykle aktualną charakterystykę pamfletów Maksyma Gorkiego o Ameryce. Część czwarta poświęcona jest literaturom krajów demokracji ludowej. Zawiera ona szkic I. Anisimowa „Rozkwit nowej literatury polskiej" i artykuł informacyjny S. Szmerala „Życie literackie Czechosłowacji". Szkic o literaturze polskiej oparty jest przede wszystkim na wrażeniach autora odniesionych przy okazji pobytu w Polsce w zimie br. Ujmuje zatem najważniejsze tylko zjawiska naszej literatury w chwili obecnej, zamyka go jednak Anisimow pełnym optymizmu stwierdzeniem żywotności naszej literatury i jej możliwości rozwojowych. Artykuł o literaturze czechosłowackiej jest znacznie bardziej szczegółowy i szerszy pod względem informacyjnym.

Ostatnia część pierwszego zeszytu „Literatury Radzieckiej" poświęcona jest nowojorskiemu kongresowi w obronie pokoju. Zawiera ona teksty przemówień, które na kongresie tym wygłosili delegaci radzieccy Fadiejew, Pawlenko, Oparin, Szostakowicz, Gerasimow i Cziaureli. Poza powieścią, o której była mowa powyżej, jest to najciekawsza część zeszytu.

Miesięcznik „Literatura Radziecka" może śmiało liczyć na zainteresowanie i dobre przyjęcie u polskiego czytelnika. Pismo to odbiega wprawdzie od typu pisma literackiego, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni, ale chyba słusznie nie obciąża go redakcja informacjami i kronikami, gdyż w tej mierze miesięcznik ten wyręcza doskonale polska tygodniowa prasa literacka. Przypuszczać należy, że dla czytelnika zainteresowanego rozwojem zagadnień realizmu socjalistycznego pożądane byłoby szersze uwzględnianie teoretycznych problemów współczesnej literatury radzieckiej, że chętnie zapoznałby się z sylwetkami poszczególnych pisarzy, że nie pogardziłby i przekładami poezji. Być może jednak, że w zamiarach redakcji leży uwzględnianie tych działów.

Nowemu pismu jeden można by tylko postawić zarzut: ciężkie i miejscami mało poprawne przekłady artykułów i prozy. Jest to jednak błąd, który nie trudno będzie usunąć.

Bor.

# KORESPONDENCJA

## W sprawie artykułu „Niemcy budują polski zaścianek".

Szanowny Redaktorze !

Od lat czytam z najżywszym zainteresowaniem Wasz tygodnik „Odra". Najwięcej zaciekawiają mnie te artykuły, które dotyczą problemów polsko-niemieckich. W numerze 25 Waszego tygodnika ukazał się artykuł Józefa Klimka pod tytułem „Niemcy budują polski zaścianek", który z całą dokładnością wskazuje na to, że byłoby koniecznie potrzebne przeciwstawić się antypolskiej propagandzie w Niemczech systematyczniej i konsekwentniej aniżeli dotąd. Co w wymienionym artykule zostało wypowiedziane, potwierdza w pełnej mierze to, co ja (jako autochton) w przebiegu mojego blisko 30-letniego pobytu w Niemczech zachodnich i południowych zawsze sobie musiałem przypominać: niemiecka propaganda stworzyła pod dewizą „Polnische Wirtschaft" mur między Polską a Niemcami, który dziś wydaje się nie do przebycia, który jednak musi zostać zerwany, bo inaczej opinia o Polsce w Niemczech a równocześnie w świecie się nie poprawi. Mnie jako Górnoślązakowi pochodzenia polskiego, było zawsze przykro słyszeć, z jaką pogardą Niemcy powszechnie wyrażali się o Polakach. Nie było żadnej niecnoty i słabości, której Polak nie byłby posiadał. Był on w ich oczach fałszywy, leniwy, niezdyscyplinowany i źle wychowany, a oprócz tego wielki pijak. Powiadano też niekiedy, że Polak jest mężny i gościnny, że nawet autor powieści „Quo Vadis" ma być Polakiem! Był to już też szczyt pochwały, który przeciętny Niemiec Polakowi udzielił.

Było to dla mnie rzadkim wydarzeniem, kiedy na trasie Stuttgart—Friedrichshafen siedział naprzeciw mnie pasażer (Niemiec) czytający „Chłopów" Reymonta w tłumaczeniu niemieckim (Eugen Diederichs-Verlag, Jena). Wdawszy się ze mną w rozmowę na temat tej książki, powiada mi, że on Reymonta nawet nad Knuta Hamsuna stawia... Napełniło mnie też wielkim zadowoleniem, kiedy na międzynarodowej wystawie plakatów w Monachium w roku 1930 trzecia nagroda przypadła pracy polskiego artysty i kiedy niemiecka prasa jednogłośnie wysoki poziom polskich przedstawicieli wystawy podkreślić musiała. Oczytanemu obserwatorowi nie mogło nie podpaść że prasa niemiecka nawet w swoich najpozytywniejszych wypowiedziach o polskich osiągnięciach wyrażała się z domieszką ironii i wątpliwości. Przeważnie to co polskie w niemieckiej prasie rzadko znajdywało ocenę obiektywną i pełnowartościową.

Że ta tak celowo przeciw Polsce prowadzona propaganda niemiecka przeważnie na dawniejszą ludność Śląska Opolskiego źle wpływać musiała, można już było przed dziesiątkami laty przewidzieć. Te wpływy sięgały tak daleko, że Opolanie w większej części mimo ich woli się od tego narodu odsunęli, o którym Niemiec z taką uporczywą wytrwałością twierdził, że jest to naród cierpiący na manię wielkości i nie posiadający żadnych większych zalet. Któryż znawca charakteru tutejszej ludności, składającej się w przeważnej części z warstw czysto robotniczych, mógłby wobec tego wątpić w to, że odłamki tej antypolskiej propagandy zapadły po dziś dzień w dusze tych ludzi. Do tego samego wniosku dochodzi pośrednio recenzent felietonów J. Łangowskiego „Kościół a sprawa pod zaborem pruskim" w „Odrze" nr 26: „Ci, którzy w pierwszych szeregach walczyli o polskość na Opolszczyźnie ubolewają szczególnie nad tym, że po czterech latach wyzwolenia spod jarzma hitlerowskiego większa część ludności jeszcze milczy przy odśpiewaniu „Boże coś Polskę"...

Dużo zrobiono i robi się w tym kierunku, żeby nas autochtonów na dobrych obywateli polskich wychować. Przeprowadza się kursy języka polskiego, otwiera się świetlice i biblioteki, zakłada szkoły dla dorosłych. Jednak do dziś dnia żadna instytucja i żaden instytut nie pokusił się o wydawanie jakiegoś popularnego dziennika może pod tyt. „Autochton" czy „Górnoślązak" albo „Opolanin", którego najważniejszym celem byłoby nawiązywanie ścisłego kontaktu między ludnością miejscową a jej odzyskaną ojczyzną. Głównym zadaniem takiej gazety musiałoby być uświadamianie swoich czytelników - autochtonów pod względem ideologicznym, dawanie im możności otwartego wypowiadania myśli i poglądów. W ten sposób udałoby się na pewno w krótkim czasie stworzyć ten fundament, w oparciu o który autochtoni wykształciliby w sobie wolny od pozostałości dawniejszej antypolskiej propagandy światopogląd. Nie miało tutaj być tyle mowy o autochtonach, lecz o wymienionym artykule „Niemcy a zaścianek". Co J. Klimek na pewnym miejscu wspomnianego artykułu powiedział, musiałby każdy polski obywatel dziesięciokrotnie sobie powtórzyć: „Potrzeba przede wszystkim, abyśmy przeskoczyli izolacyjny wał niemiecki, zdjęli światu z nosa jego niemieckie okulary i nałożyli w to miejsce szkła czyste"!

Jan Grudzka
Mikulczyce Śl.

## W sprawie artykułu „Koniec procesów norymberskich"

**Interesujący artykuł Krzysztofa Morawskiego pt. Koniec procesów norymberskich, zamieszczony w nrze 26 (188) „Odry" z lipca 1949 roku wymaga sprostowania i uzupełnienia.**

**Autor pisze: „Dnia 14 kwietnia br. zakończył się trzynasty z kolei, a zarazem ostatni proces norymberski. Trybunał ten dłużej urzędować nie będzie..."**

**Z przedstawienia ob. Morawskiego wynika, że był tylko jeden Trybunał w Norymberdze, który sądził zarówno Goeringa jak i Weizsaekera. Tak nie było.**

**Goeringa, Ribbentroppa, Hessa, Keitla, Francka, Schachta, Papena itd. sądził Międzynarodowy Trybunał Wojenny w Norymberdze, złożony z sędziów: amerykańskiego, brytyjskiego, francuskiego i radzieckiego.**

**Trybunał ten zakończył swoją działalność ogłoszeniem dnia 1 październik a (i 30 września) 1946 roku wyroku na Goeringa i towarzyszy, czyli na 21 tzw. głównych przestępców wojennych.**

**Po rozwiązaniu Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze władze amerykańskie powołały w Norymberdze szereg amerykańskich trybunałów wojennych (12 senatów i 12 procesów), które rozpatrzyły 12 spraw, między innymi sprawę lekarzy SS z obozów koncentracyjnych, w której zeznawały 4 Polski-króliko-doświadczalne z Ravensbrueck, sprawę sądowników, sprawę dowódców wojskowych na Bałkanach, w której zapadł skandaliczny wyrok odmawiający praw jeńców wojennych partyzantom jugosłowiańskim i greckim i usprawiedliwiający rozstrzeliwanie przez Niemców zakładników. Ostatnim, dwunastym z kolei, procesem przed amerykańskim trybunałem wojennym był proces przeciw b. dyplomatom hitlerowskim i kilku generałom SS — organizatorom masowych mordów na Żydach w różnych krajach Europy. Nasza prasa stale miesza trybunały amerykańskie z Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze, który rozpatrzył tylko jedną sprawę Goeringa i 20 towarzyszy.**

**Dr Stanisław Piotrowski**
**b. delegat polski w Norymberdze.**

# Felieton literacki

# XXX karykatur



Kazimierz Sichulski

*Zaczęło się od „Ludzi Bezdomnych" i „Wesela". O samym świcie nowego stulecia. Wiadomo. Czas nastał wielkiego, nieoczekiwanego urodzaju i żniwa. Dekada osiągnięć we wszelkiej twórczości. Poprzez „Roztoki" Orkana i „Skalne Podhale" Tetmajera do „Chłopów" Reymonta i do „Popiołów" Żeromskiego. Nowa proza, nowa poezja, nowe formy wszędzie. Bo równocześnie renesans plastyki i muzyki. Matejko byłby klątwę rzucił na Wyczóła i Fałata za to, że rozwaliwszy mury jego „majsterszuli" pobiegli w plener i tyle cud-odkryć poczynili tam i w człowieku. Dołączyła się szumno-zawiła mitologia Jacka Malczewskiego i pejsażowe maleństwa Stanisławskiego. Obok monumentalna sztuka Dunikowskiego, marmury Laszczki, portrety zwierzęce fenomenalnego choć nierychliwego Puszeta. Nie koniec. Bo jeszcze Symfonie i pieśni Mieczysława Karłowicza, zapowiedź Szymanowskiego.*

*Gadatliwi jak nigdy lirycy pobudowali sobie różnych kapliczek bez liku. A to dla nagiej duszy, a to dla chuci, dla nastroju, dla pustego byle dźwięcznego wielosłowia, które się wynaturzyło wreszcie w jakąś śmieszącą nas dziś nastrojowość.*

*Aż prosiło się, by tym zapatrzonym we własne pępki narcyzom pokazać język i figę z makiem. I stawić im przed oczy krzywe lusterko szydu. Uczynił to bęcwał, student Akademii Sztuk Pięknych, który w roku 1903 wydał kwadratową książeczkę w ceglastej okładzinie: XXX Karykatur. Twórca ich, Kazimierz Sichulski, był talentem samorodnym. Świata szerszego nie oglądał. Chyba w kawiarnianym dymie, wśród oceanów czarnej kawy zerknął na „Puncha" czy Simplicissimusa, raczej chłonął jedynego uwielbianego Mistrza. Bo Wyspiański umiał czasem od niechcenia, dla żartu ustawić na świstku kilka równoległych krótszych i dłuższych linijek, tak że wyobrażały jakiegoś śląskiego Piasta w pancerzu, a kiedy indziej Wilhelma Feldmana w redakcji „Krytyki" Znakomity egzemplarz temperamentu czerwieńskiego, którego erupcje budzą podziw, zaciekawienie, oburzenie. Są akcentem, jakiego właśnie brakowało. Są wykrzyknikiem nad całą epoką tryumfującej Młodej Polski. Interesują go tylko głowy, profile, twarze. Jednych machnął a' la hate przy stoliku u Sachera, wystudiował sumiennie gęby inne. Na widziane i na niewidziane. Z notatki w szkicowniku, z fotosu w gazecie, z birbantki. Demaskuje młodziutki Sichuła w tych swoich figlikach rysunkowych, bo żadnych wysokopiennych ambicyj jeszcze nie ma, całą bezsiłę i niemoc wyjątkowego skupienia talentów przeróżnej maści, jakich w takiej ilości razem jeszcze epoka twórczości polskiej nie miała.*

**Gdybym ja nie był druid skamieniały,**
**bóg bez wieczności i król bez korony —**
**gdybym ja nie był ptak morski szalony —**
**gdybym ja nie był od męki szczerniały,**
**gdybym ja nie był jak śpiew na mogile...**

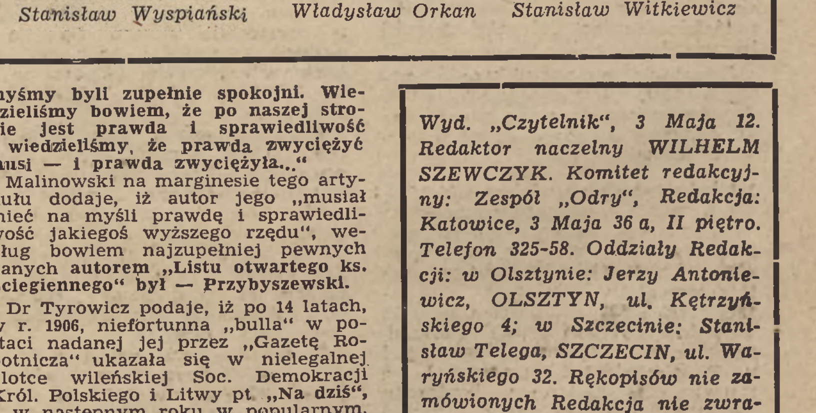
*W pas pokłonił się Wyspiańskiemu, z uszanowaniem naszkicował profil Stefana Żeromskiego. Ale zaraz wyszydził Stanisława Witkiewicza, zmieniając go w zramolałego rozczochrańca, zaś twórcy bagatelizowanej przez młodych Trylogii dodał kwadratowe podkówki pod oczyma. Z karykaturą własną nie mógł na razie dać sobie rady. Ten jakiś Stańczyk na okładce nie ma nic wspólnego z Sichulskim, podobniejszy będzie dopiero (i pochlebniejszy) w „Kabarecie Szalonym", widnym do dziś na ścianie u Michalika w Krakowie.*

*Kastygować, osadzać nie chce nikogo tą swoją wykpiszowską krechą. Chyba wyjątkowo dodał Lucjanowi Rydlowi krezy błazeńskie. Interesują go raczej oczy Jacka Malczewskiego i osobliwie wykręcona bryła czaszki. Kunsztem linearnym zabłyśnie zmieniając Stanisławskiego w gdaczącą, jakże podobną kwokę. Napiętnuje Leopolda Staffa za to jego burżuzyjskie futro i Reymonta, eleganta z pretensjami. Henryk Zbierzchowski wyda mu się rozmodlonym cherubinkiem, zaś ostrogi rozwichrzonego dekadenta przypisze Władysławowi Orkanowi. Anegdotę, literaturę, koncept doda swym karykaturom artysta dojrzały, młodzieńca pasjonuje wyłącznie kontur i linia.*

*Od tych właśnie pierwszych występów, kiedy wiek XX był jeszcze w kolebce, nazwisko Sichuły stało się w zapleśniałej Galicji ówczesnej synonimem buntowniczego protestu. Zuchwała w formie, rewolucyjna w treści była jego twórczość. Zdobył sławę jako świetny karykaturzysta. Prześmiewał Kraków, Lwów, Wiedeń parlamentarny, Warszawę potem, Zakopane i wszystko co się u nas działo aż po koniec pierwszej wojny światowej. (1914—1918). Satyryczny ołówek poszedł w głąb pod względem treści, chociaż nowych fenomenów formy nie ujawniał. Od początku rozwoju sztuki naszej, od improwizacyj Aleksandra Orłowskiego, nie mieliśmy tak świetnego prześmiewcy. Demaskował wielkości wszelakiego kalibru. Kpił z burżuazyjnych wielmożów, z wielkich ludzi do małych interesów, z karierowiczów, z polityków wszelakiej maści. Nie przepuścił piłsudczyźnie i całej klice, choć wypadło borykać się z cenzurą. Pamiętamy też Ignacego Daszyńskiego, jak cwałuje na zgarbionym robociarzu, mającym na zadku napis P. P. S. a wódz go gwałtem popędza. I hrabia Leon Piniński, znany historyk sztuki, zbieracz obrazów zaciekły, kropi polewaczką w swym ogródku jakieś nadzwyczajne osobliwości. A jeszcze Wacław Sieroszewski w pokracznym mundurze ułana spod Samosierry.*

*Wreszcie mu to przeszło z wiekiem, gdy został dużym człowiekiem. Wyszumiał temperament artysty, który najpierw poszedł na Huculy, potem olaurowany w profesory krakowskie. Pasjonowała go sztuka dekoracyjna i wielkie panneaux na całą ścianę, nie jakieś tam wyszydzania wielkości. Pozostał wszakże w pamięci i historii buńczuczny debiut smarkacza. Tomik karykatur. Sprzed lat niebawem pięćdziesięciu. A tak rzadki dzisiaj na półkach antykwarskich jak pierwsze wydania Wyspiańskiego czy Żeromskiego.*

*KAJETAN STOPA*



*Stanisław Wyspiański* — *Władysław Orkan* — *Stanisław Witkiewicz*

# „Zapora" w Olsztynie

Stary służący Pułowskich tak pocieszał K. H. Rostworowskiego, gdy sromotnie padła pierwsza jego sztuka: „Panie Hrabio, niech Pan się nie martwi, z początku to każdy taki głupi".

Juliusz Słowacki nie oglądał nigdy swojego utworu na scenie. Pisał na niewidziane.

Aleksander Fredro schował się, jak ślimak do skorupy po recenzji pełnej inwektyw Seweryna Goszczyńskiego. Michał Bałucki zniechęcony krytykami... zastrzelił się na błoniach krakowskich.

Nieszczęśni autorzy dramatyczni z początku nie mogą się dogadać sami ze sobą, a jeśli już dogadają się ze sobą, to nie dogadają się ze współczesnością.

Również i Janusz Teodor Dybowski należy do pisarzy nieszczęśliwie zakochanych w teatrze. Grano już kilka jego sztuk, ale on nie zrobił na nich ani sławy, ani pieniędzy.

Przed laty w poznańskim teatrze widziałem jego sztukę *„Z tej i z tamtej strony"*. Tak się złożyło, że mogłem ją zobaczyć dopiero po napisaniu wzmianki do gazety. Wzmiankę zredagowałem, oparłszy się na relacjach wspólnych przyjaciół. Otóż między przyjacielskimi relacjami a moim późniejszym sądem była znaczna rozbieżność. Zrozumiałem wówczas słynne powiedzenie, że tylko z wrogami można sobie dać radę samemu.

Treść ówczesnej sztuki Dybowskiego jest sensacyjna. Komendant placówki szpiegowskiej ma same niepowodzenia. Wszyscy jego ludzie idą po kolei na śmierć. Wiadomo, że ktoś zdradza, ale kto? Po wielu tarapatach okazuje się, że własna żona komendanta. Nakrył ją przyjaciel męża. Kobieta - szpieg popełnia samobójstwo. (rewolwer podał jej pułkownik i odwrócił się do niej plecami, kobieta - szpieg chce w pierwszej chwili zastrzelić pułkownika, ale po chwili wahania odbiera sobie życie sama).

Zasługą Dybowskiego jest zwrócenie uwagi na infiltrację wpływów niemieckiego wywiadu.

W tej chwili w Olsztynie zagrano sztukę mniej sensacyjną i mniej smutną dla widza. Sztuka nosi tytuł *„Zapora"*. Dotyka ona w sposób szczery, jasny i prosty zagadnienia nowej i starej wsi.

Stara wieś wierzy w cuda, w złoto, wierzy, że bez pracy można jeść kołacze, że pieczone gołąbki mogą wlecieć do gąbki.

Wieś nowa również wierzy w cuda, które robimy własnymi palcami, które stwarzamy własną pracą i heroiczną decyzją.

Nim wieś nowa postawi zaporę wodną, aby całej okolicy zapewnić pracę i dobrobyt, musi się uporać z zaporą (ludzką), która sobie i innym stoi na drodze do szczęścia.

Teatr Ochotniczy polski cierpi na chroniczny brak sztuk, wydaje mi się, że sztuka Dybowskiego poza normalną turą na scenach teatru zwykłego, zrobi karierę właśnie na scenach ochotniczych. Jej symbolika, jej język prosty i zrozumiały będzie pożądanym pokarmem wielu zespołów wiejskich. Słowem, że przyczyni się do zwycięstwa zapory wodnej a do klęski zapory ludzkiej.

Teatry wielkich miast polskich, to przeżywacze, lubią grać sztuki pewniaki, sto razy grane i ograne, z modną etykietką zagraniczną — skromna scena olsztyńska miała odwagę pokusić się o zagranie prapremiery polskiego autora. Należy to zapisać na jej dobro.

Kiedyż wreszcie powstanie teatr, który będzie grał wyłącznie polskich autorów? — autorów żyjących, autorów młodych, nieznanych. Autorów szukających siebie, autorów szukających nowych dróg i starych, zatartych ścieżek?

Nie mogę pojąć, dlaczego np. nie gra się prześlicznej, poetycznej sztuki Smólskiego „Zaczarowanej gospody"?

Dlaczego tak niewiele grywa się „Homera i Orchideę" Gajcy'ego?



*„Zapora" Janusza T. Dybowskiego w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie*

Dlaczego w teatrze tak mało odbił się proces nowych czasów, nie chodzi mi tu o repertuar, ale o podejście dyrekcji?

Dlaczego teatr jednak wciąż jeszcze jest kramem i sklepikiem, a nie prawdziwą świątynią nowych czasów?

Ale wracajmy do „Zapory". W „Zaporze" właściwie jedna jest rola „całą gębą" i szereg rólek. Rolę całą gębą ma Weronika Trzesowska kreowana przez p. *Śnieżko-Szanaglową*. Grała ona bardzo dobrze, twardo i z temperamentem, słowem, tak, jak wynikało z roli. Scena uwodzenia wyszła naturalnie i zabawnie.

W rólce Agnieszki zobaczyliśmy byłą dyrektorkę „Jaskółki" p. *Starską*. Ma ona w dziejach teatru polskiego zaszczytną kartę, umiała ona siłą swego talentu wlać dużo komizmu w kreowaną postać.

Żałowałem, że okrutny autor nie przeznaczył więcej miejsca dla Stefy. Grała ją bowiem aktorka *(Hanna Zielińska)* o tak wzruszającej prostocie i niezwykłej urodzie i wdzięku, że nie można się było napatrzeć.

Zresztą całość przedstawienia nie robiła wrażenia prowincjonalnego. Każda rola siedziała mocno, co napewno jest nie tylko dowodem, że Olsztyn w tym sezonie zebrał sobie grupkę wartościowych aktorów, ale i tego, że *Milski Stanisław* umiał trafnie obsadzić role i włożył dużo wysiłku, aby całość wyszła bez zarzutu.

Może tylko stary ojciec budził zastrzeżenia swoją marionetkowością, ale zarówno staruszkom, jak zdolnym aktorom wiele się wybacza.

Z żalem opuszczałem Olsztyn. Na drodze między Olsztynem a Toruniem ustawiona szpalerem z obu stron drogi żegnała mnie defilada jezior.

Fioletowe łubiny niosły światło zielonym zagajnikom.

*Jan Sztaudynger.*

# Wspominamy epika górniczego

**Po pierwsze — Jan Waśniewski jest najwybitniejszym przedstawicielem literatury Zagłębia Dąbrowskiego, a jednocześnie zajmuje nie byle jaką pozycję w pisarstwie polskim w ogóle. Dowodem tego jest jego poczytność i wznowienie w ubiegłym roku drugiej — chronologicznie biorąc — jego powieści „Ognie w pirytach".*)**

**Po drugie — trudno podejmować pisanie historii literatury choćby jednego regionu, jeśli nie dysponuje się dokładnymi danymi biograficznymi. Stanisław Lam w swej pracy „Współcześni pisarze polscy" pisał w przedmowie przed dwudziestu kilku laty: „Od bio- i bibliografii bowiem zacząć należy, jeśli chodzi o stworzenie dokładnego obrazu twórczości w pewnym okresie czasu od ustalenia tych dat i szczegółów, na których podstawie oprzeć można charakterystykę twórców i dzieł ich..."**

**Po trzecie — Zdzisław Hierowski, który przypominał po wojnie Waśniewskiego, nazywając go słusznie epikiem Zagłębia Dąbrowskiego, z żalem zaznacza w swej książce „25 lat literatury na Śląsku", że brak bliższych danych biograficznych o autorze „Na podszybiu".**

**To skłoniło mnie do zebrania garści szczegółów o życiu Jana Waśniewskiego i podzielenia się nimi z czytelnikami „Odry".**

**Rodzina Waśniewskich nie pochodzi z Zagłębia. Ojciec pisarza, Józef Waśniewski, syn Teofila i Julianny z Krajewskich, urodził się w 1869 roku w rodzinnej wsi Waśniewie, w powiecie mławskim. Matka, Marianna-Stanisława z Rosnowskich, córka Jana i Kamili z Sygietyńskich, spokrewniona była z rodziną Poniatowskich. Ojciec Jana Waśniewskiego młodo jednak przywędrował do Zagłębia i tu, w Zagórzu koło Dąbrowy, brał ślub w roku 1896. W Zagórzu urodził się także autor „Na podszybiu" 24 listopada 1896 r. Ojciec pisarza był technikiem górniczym, pracującym od 1902 r. na kopalniach galmanu w Bolesławiu koło Olkusza. Mieszkali Waśniewscy w Krążku koło Bolesławia, gdzie stary Waśniewski zmarł w listopadzie 1938 r. Matka zmarła w Warszawie w 1947 r. Nadsztygar Walicki z „Ogni w pirytach" posiada wiele cech ojca pisarza.**



*Jan Waśniewski*

**Po powrocie z I wojny światowej (służył jako młody chłopiec w legionach, do których wstąpił w czasie ich przemarszu przez Bolesław, obok którego leżą Krzywopłoty) i służbie wojskowej studiuje Waśniewski na U. J. w Krakowie polonistykę. Jakiś czas uczy w gimnazjach zagłębiowskich, gdzie pozostawia pamięć dobrego pedagoga-polonisty. Następnie przenosi się do Warszawy, gdzie obok pracy nauczycielskiej prowadzi audycje dla robotników przed mikrofonem rozgłośni warszawskiej Polskiego Radia. Drukuje także wiele po różnych czasopismach. Część nowel, pisanych w gwarze górniczo-chłopskiej okolic Bolesławia, wyszła w tomie „Po dniówce". Waśniewski zżyty był z bracią górniczą od dziecka. Zna dobrze środowisko górnicze i głęboko je rozumie. Jeśli dodamy do tego zdolności Waśniewskiego w obserwacji życia, wówczas widzimy realizm jego utworów, zapełnionych nie papierowymi postaciami ale żywymi ludźmi. Ludzie z krwi i kości, jacy byli i są jeszcze w kopalniach galmanu w Bolesławiu i okolicy. Autor „Na podszybiu" nie zajmuje stanowiska li tylko przychylnego obserwatora, lecz wykazuje postawę czującego i współczującego z ludźmi, których cierpienia i walkę maluje. To stanowisko autora wypływa nie tylko z jego charakteru i z długoletniego współżycia z prototypami swych bohaterów, ale także z wyniesionych z rodzinnego domu poglądów społecznych. Ojciec Waśniewskiego był czynnym działaczem socjalistycznym przed pierwszą wojną światową. Dom Waśniewskich w Krążku był azylem dla wielu działaczy ówczesnej PPS. Tu był punkt wypadowy dla uciekinierów za granicę b. zaboru austriackiego, która leżała pół godziny drogi od Krążka, za rzeczką Sztolą, płynącą przez małą pustynię Starczynowską. Stary nadsztygar wciągał do tej „roboty" niektórych swych górników lub śleprów, którzy byli przeważnie bezinteresownymi „šwarcownikami" bojowców. Tu także „melinowano" prasę socjalistyczną w pierwszorzędnych zakamarkach kopalniowych odkrywek. Taka była geneza postępowego światopoglądu Waśniewskiego, który każe mu uczyć w Warszawie w gimnazjum żydowskim, chociaż mógł otrzymać lepiej płatną pracę w innej szkole. Pisarstwo Waśniewskiego odsłania w sposób przekonuwujący bohaterstwo pracy górnika.**

**Po przejściu kampanii wrześniowej i uniknięciu niewoli bawił Waśnewski kilka dni wśród znajomych w Bolesławiu, a następnie przybył do Warszawy, gdzie spędził cały okres okupacji. Wywieziony po upadku powstania do Rzeszy zmarł w Hamburgu z końcem 1944 r.**

**JERZY LIS**

*) Jan Waśniewski — Ognie w pirytach. Powieść. Zakłady Wydawnicze B. Matuszewski, Warszawa, 1948 r.

# „Straszydło" w Tarnowskich Górach

Niewielu chyba ludziom spoza Tarnowskich Gór znane jest to „straszydło", a mniej jeszcze znana historia jego pojawienia się. Wyzierało ono z balkoniku pierwszego piętra ratusza i straszy nie tyle mieszkańców Tarnowskich Gór, (bo ci powoli ochłonęli już ze strachu) ile przybyszów. A więc posłuchajmy:

W czasie pierwszej okupacji Śląska przez Niemców, Bismarck wysłał księcia brandeburskiego do Tarnowskich Gór, celem wręczenia temu miastu aktu „Freie Bergstadt Tarnowitz" (Wolne Miasto Górnicze Tarnowskie Góry). Niemieccy radni miasta postanowili upamiętnić tę chwilę: Wykuto w kamieniu posąg owego wysłannika Bismarcka, księcia brandenburskiego i postawiono na balkonie ratusza. I stał sobie ów posąg aż do roku 1934, patronował Tarnowskim Górom, przypominając bismarckowskie czasy. Ale gdy Polacy uzyskali większość mandatów w Radzie Miejskiej, usunięto dożywotniego burmistrza Franza Michatza i pomnik zrzucono. Jednak szczątki (czy skorupy) posągu frakcja niemiecka pozbierała i z pietyzmem ukryła na poddaszu ratusza, opłakując upadek i oczekując chwili na ponowne postawienie swego „bożyszcza".

Chwila ta nadeszła niebawem: W roku 1939 Niemcy zawieźli skorupy posągu do Gliwic, gdzie takiegoż sobowtóra posągowego ponownie wykuto w kamieniu i postawiono na dawnym miejscu. Były przy tym wielkie uroczystości: dekorowano krzyżami byłych radnych niemieckich i tych co skorupy z posągu pozbierali i przechowali. Ówczesny bürgermeister Tschauder powiedział między innymi: „Odtąd ten posąg będzie stał i królował Tarnowskim Górom po wieki, gdyż nie znajdzie się żadna wraża łapa, która by potrafiła go usunąć". Potem srpowadzono artystę malarza i wewnątrz gmachu ratusza wymalowano całą historię Tarnowskich Gór. Niemiecka prasa pisała o tym „płomienne" artykuły.

Tak to mniej więcej przedstawia się historia pojawienia się „straszydła" na balkonie ratusza w Tarnowskich Górach.

Mieszkańców miasta i przybyszów dziwi jedno: czyżby niemiecki bürgermeister Tschauder przewidział, że „posąg księcia brandenburskiego będzie po wieki królował"? Bo oto stoi sobie do dziś. Stoi i straszy. Dlatego też w piętnastą rocznicę jego usunięcia, a w dziesiątą ponownego postawienia — mieszkańcy Tarnowskich Gór i przybysze apelują do uśpionych „rajców" miejskich. „Zrzućcie z ratusza to „straszydło", a skorupy wrzućcie do kanału".

**Józef Pogan**

## SPROSTOWANIE

Wskutek przeoczenia przy łamaniu nru 32 „Odry" uległ zniekształceniu artykuł L. Brożka pt. **Z dziejów pewnego „apokryfu"**. W środkowej szpalcie po dwukropku opuszczono następujące ustępy:

**„Obwinieni dowiedli, że pismo to ulotne było przez ks. Ściegiennego pisane, dowiedli dalej, że o podburzaniu jednej klasy przeciwko drugiej nie ma mowy, bo twierdzenie takie zbija nie tylko cała organizacyjna działalność ks. Ściegiennego, ale i treść pisma jego. Sąd uznał te wywody za słuszne i obwinionych całkiem uwolnił... W ten więc sposób macie, bracia robotnicy, najlepszy i najskuteczniejszy dowód, jak podle i nędznie sobie wszystkie pisma polskie wobec nas postępują. Zaledwie się owa odezwa ukazała, zaczęli wszyscy krzyczeć, że list sfałszowany, denuncjacje posypały się do prokuratora jak grad, wołano o pomstę do władz ziemskich i niebieskich, a my spokojnie na to patrzyliśmy, drukowaliśmy jeden nakład po drugim, blisko 20 tysięcy rozeszło się w przeciągu dwóch tygodni, lud rozdrapywał formalnie te święte słowa szlachetnego kapłana, oskarżono nas — myśmy byli zupełnie spokojni. Wiedzieliśmy bowiem, że po naszej stronie jest prawda i sprawiedliwość i wiedzieliśmy, że prawda zwyciężyć musi — i prawda zwyciężyła..."**

Malinowski na marginesie tego artykułu dodaje, iż autor jego „musiał mieć na myśli prawdę i sprawiedliwość jakiegoś wyższego rzędu", według bowiem najzupełniej pewnych danych **autorem „Listu otwartego ks. Ściegiennego" był — Przybyszewski.**

Dr Tyrowicz podaje, iż po 14 latach, w r. 1906, niefortunna „bulla" w postaci nadanej jej przez „Gazetę Robotnicza" ukazała się w nielegalnej ulotce wileńskiej Soc. Demokracji Król. Polskiego i Litwy pt. „Na dziś", a w następnym roku w popularnym, lecz dziś mało już znanym wydaniu **„Jak chłopi polscy walczyli o wolność"** (Kraków 1907).

W zaborze austriackim „List otwarty ks. Ściegiennego" nie ukazał się dopiero w r. 1907, lecz znacznie wcześniej, mianowicie już w r. 1900, co Tyrowicz przeoczył zarówno w wymienionej na wstępie monografii, jako też w katalogu kieleckiej wystawy historycznej **„Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki"** (Kielce 1949, Muzeum Świętokrzyskie). Na ów przeoczony przez niego drobiazg chciałem zwrócić uwagę, chcąc tym samym uzyskać drobiazgowo i starannie przedstawiony obraz nie tylko epoki, lecz i jej późniejszych odgłosów.




*Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73*
R 021186